№ 38. Warszawa, dnia 20 (8) Września 1884 r. Rok IV.

# PRAWDA

## TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.


**PRENUMERATA „PRAWDY"**
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

**W Warszawie:** miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
**Z przesyłką pocztową** do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Zielna Nr. 7-a.

**Administracya** otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
**Redaktor** przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
**Rękopisy** drobne nie zwracają się.

**Przedpłatę przyjmują:** Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych; w Petersburgu w Księgarni H. Glińskiego, Plac Kazański Nr. 7.
**Sprzedaż pojedynczych numerów** po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
**Ogłoszenia** wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.


TREŚĆ.



Szan. abonentom naszym przypominamy nadchodzący termin kwartalnej przedpłaty, którą prosimy przesyłać, o ile można bezpośrednio, do Administracyi **Prawdy**.

## ZJAZD SKIERNIEWICKI.

Czy zjazd skierniewicki będzie miał wielkie znaczenie *historyczne* — jak utrzymują niektóre gazety — to dopiero okażą jego skutki; tymczasem niewątpliwie posiada on wielką doniosłość *polityczną*. Rzeczywiście fakt to niezwykły. Dyplomacya jest bluszczem, lubiącym piąć się po ścianach ciemnych korytarzów; światła dziennego nie lubi. Nawet najważniejsze operacye spełnia ona w tajemnicy, zasłonięta całą siecią złudnych pozorów. Spotkania monarchów odbywały się nieraz, ale zawsze usiłowano im nadać charakter przyjacielskich lub przypadkowych. Zjazd skierniewicki odróżnia się stanowczo od poprzednich pewną — że tak powiemy — szczerością i jawnością. Nikt nie wątpi i nikt w innych nie wmawia żadnych zwodnych mniemań, wszyscy wiedzą przynajmniej ogólnie, że jeśli trzech władców zjechało się w małej polskiej mieścinie, a jeden z nich uczynił to pomimo swojego sędziwego wieku, jeśli z tymi władcami przybyli główni ich pomocnicy, jeśli znalazł się człowiek, który dziś wywiera najpotężniejszy wpływ w Europie, to musiały na tę naradę złożyć się przyczyny poważne i sprawy pierwszorzędne. Jakie? Chyba żaden czytelnik naszego pisma nie będzie wymagał od nas odpowiedzi na to pytanie, które nie jest zagadką tylko dla bezpośrednich uczestników trójcesarskiego zjazdu i które na długo zapewne nią pozostanie dla najdomyślniejszych i najlepiej poinformowanych organów prasy europejskiej. Możemy jedynie wnioskować hypotetycznie. Mianowicie zdaje się prawdopodobnem, że skoro trzy sąsiednie rządy uznały potrzebę bezpośredniego porozumienia się, pragnęły w niem zamienić lub ujednostajnić swe poglądy we wszystkich tych sprawach, które dziś stoją na porządku dziennym.

Pierwszą sprawą taką jest zatarg francusko-chiński, a zarazem francusko-angielski. Z kilku dość wymownych objawów: z kolonizacyi niemieckiej w Afryce, z popierania przez ks. Bismarka gabinetu paryskiego przeciw londyńskiemu, ze zmiany frontu urzędowych dzienników berlińskich przypuszczać wolno, iż kanclerz niemiecki postanowił odosobnić Anglię i sięgnąć po te wawrzyny, którymi Napoleon I czoła swego ozdobić nie zdołał. Jest to bowiem dziś jedyne mocarstwo, które stoi po za kołem wpływów ks. Bismarka, które mu stawia opór, którego on ani nie pokonał, ani do przymierza nie wciągnął. Nadto Anglia swoimi zaborami we wszystkich częściach świata tak pozagradzała drogi kolonizacyjne innym państwom, że one dziś muszą bądź zburzyć te rogatki, bądź je dla siebie otworzyć.

Drugą sprawą niezmiernej wagi jest szeroko rozgałęziony anarchizm. We wszystkich trzech państwach zatamowano go „prawami wyjątkowemi," które już oddawna usiłowano związać w jeden wspólny systemat. Niektóre, najgorsze nowotwory tego pochodzenia stały się istotnie groźne dla społeczeństw a ich rządom dostarczyły argumentów przeciwko wszystkim żywiołom wolnomyślnym, nawet niepławiącym się w niewinnej krwi i nieplamiącym się pospolitemi zbrodniami. Czytelnicy nasi przypominają sobie ohydne morderstwa Kamerera, Stellmachera i wspólników w Wiedniu, ozdobione także „ideą;" niedawno dokonano również zamachu na życie bankiera w Hamburgu; jednocześnie zaś głupowate i dzikie wykrzyki Mostów i tym podobnych furyatów rzuciły cień sromotny a niezasłużony na każdą niemal chorągiew liberalną i demokratyczną.

Ciągłe wrzenie na półwyspie bałkańskim mogło również posłużyć za przedmiot obrad zjazdu. Ten splątany węzeł długo jeszcze zajmować będzie polityków europejskich i stawiać im trudne zagadnienia. Innych kwestyj nie wymieniamy, chociaż niewątpliwie rozsnuto je obficie. Pewne potwierdzenie naszej hypotezy znajdujemy w organie rosyjskiego ministeryum spraw zagranicznych. „Zjazd cesarzów — powiada on — uważany być winien nie jako punkt wyjścia dla nowej sytuacyi, ale jako uświęcenie *szczęśliwie istniejącego stanu rzeczy*, jako dowód zupełnej jednomyślności we wszystkich kwestyach, zajmujących opinię publiczną i jako nowa rękojmia powszechnego pokoju. Od tej chwili wszelka nowa sprawa nie znajdzie rządów trzech mocarstw odosobnionymi, lecz zjednoczonymi postanowieniem wspólnego działania tam, gdzie ich interesa zgadzają się z sobą, a godzenia z sobą tychże interesów tam, gdzie one się różnią, i bronienia tym sposobem najwyższego interesu powszechnego pokoju. Zjazd cesarzów, to nowy i drogocenny dowód zgody między trzema państwami i pokojowej ich polityki, która ściśle przestrzegając praw cudzych i wymagając jedynie zupełnej wzajemności pod tym względem, występuje wszędzie w duchu pojednania i uspokojenia, a zarazem bacznie śledzi podziemną działalność wrogów ustanowionego porządku i wichrzycieli, dla których anarchia i zniszczenie wszelkich od wieków istniejących urządzeń stanowi ostatni wyraz rozwoju ludzkości."

W słowach tych widzimy wyraźny zarys wzmocnionego przymierza trójcesar-

skiego, które biegowi najbliższych wypadków nada charakter państw związkowych z przewagą znamion najsilniejszego. Niektórzy publicyści pod wpływem bądź własnych złudzeń, bądź rakiet p. Katkowa usiłowali dopatrzeć jakąś łączność między zjazdem skierniewickim a jego miejscem; ale był to sen fantastyczny, który w rzeczywistości odbicia nie znajdzie.

## Niespodzianki.

Naturalnie o niczem dobrem ze strony przywiślańskich bobrów mowy być nie może, są to zawsze szkodniki, więc idzie tylko o to, od którego miejsca: od głowy, ogona, czy brzucha trzeba z nich zacząć zdzierać skórę. Tym razem — zwłaszcza po zajściu z ks. Morawiczem—piszą *Mosk. Wiedomosti*:

„Niebezpieczeństwo nie leży w czerwonych *polskiej sprawy*, siła nie w nich; są to szeregowcy, stający na nogi na rozkaz swojego jenerała. Złe tkwi w jenerałach, w białych, w konserwatystach *polskiej sprawy*, w magnatach, zachowujących tradycye starej Polski, w ich intrygach i w potwornem nadużywaniu symbolów i powagi kościoła chrześciańskiego dla służenia rewolucyjnym celom. Zapomnieliśmy nauk 1863-go roku, a tajemni przywódcy polskiej sprawy umieli z nich skorzystać. Nie zasypiali oni w ciągu ubiegłych dwudziestu lat. Sądzić, że pojednanie z polską klerykalno-białą partyą, dogadzanie jej, nadanie praw i władzy może przyczynić się do naszego uspokojenia, byłoby grubym błędem. Byłoby to toż samo, co powiększać przyczynę choroby w nadziei złagodzenia jej objawów. Żywioł religijny, użyty jako narzędzie oszukaństwa i obłudy, jest gorszym od ateizmu; oszust z pozorami cnotliwymi — gorszym od zwyczajnego łotra; konserwatyzm, posługujący się dla swoich celów rewolucyą — gorszy od rewolucyi, a patryotyzm nieistniejącego państwa — gorszy od zrodzonego przezeń nihilizmu. Nie bunty są niebezpieczne dla Rosyi; niebezpiecznem jest zaślepienie co do jej pojednania z nieprzejednanym — z tym, co żyć może tylko jej rozkładem.“

Tę skórkę, jak widzimy, ściągniętą od głowy przywiślańskiego bobra, wtorująca *Mosk. Wiedomostiom* co do nas *N. Fr. Presse* rozwiesiła przed szerszym światem, objaśniwszy go, że porozumieniu się mocarstw w działaniu przeciw rewolucyonistom przeszkadzają tylko — a któżby inny! — polacy — na szczęście — z węgrami. *Czas* krakowski, do którego z urzędu należy obrona „białych,“ złożył w ich imieniu tak daleko swą prawomyślnością sięgające oświadczenie, że wątpię, czy *Mosk. Wiedomosti* go prześcigną, a w każdym razie *Prawda* zabierać tu już głosu nie potrzebuje, chociażby również była przekonaną, że „polska klerykalno-biała partya“ ma tyle wspólnego z rewolucyonistami, ile nieboszczyk Chambord. Wycieczki przeciwko niej organu moskiewskiego można sobie wytłomaczyć chyba tem, że Kato w Kartaginie nie chce ułaskawić nikogo.

Podczas gdy p. Katkow pozostał aż do absurdu wiernym swej nienawiści do Kartaginy, p. Suworin sprawił nam istotną niespodziankę. Artykuł *Now. Wremieni*, przetłomaczony z widocznem zdziwieniem przez wszystkie — powtarzamy: przez wszystkie dzienniki warszawskie, chociaż mu nie brak właściwej przyprawy, jest czemś tak niezwykłem, że tylko skacząca logika tego pisma usprawiedliwić go może. Po ćwiczeniach pp. Mołczanowa, Strannika—któżby tego oczekiwał, co następuje:

„Wewnętrzna rosyjska kwestya państwowa, wysunięta naprzód przez smutne wypadki z epoki 1863-go roku, na nieszczęście dotychczas pozostaje w zawieszeniu. Lubo od czasu ostatniego polskiego powstania upłynęło z górą dwadzieścia lat, a miejsce bezpośrednich jego uczestników zajęło następne pokolenie, znające epokę krwawej walki tylko z pogłosek i opowiadań, przecież działanie środków, wywołanych przez fatalne okoliczności, wyraża się jeszcze w bardzo silnym stopniu: polacy, jako naród, są uważani za podejrzanych; ogólne ustawy państwowe, określające prawa i obowiązki obywateli, mają wiele wyjątków w zastosowaniu do polaków. Wewnętrzna polityka państwa wciąż jeszcze rozdwaja się, ile razy jest mowa o prowincyach, zamieszkałych przez ludność polskiej krwi, a stosowane do nich środki administracyjne wciąż jeszcze cechują się pewną nieufnością względem ludności. Słuszność każe przyznać, że polacy swojem postępowaniem bardzo mało się starali o zachwianie tego systemu nieufności względem siebie. Rozprawy o „pojednaniu,“ jakie dawniej ukazywały się w prasie rosyjskiej, były przyjmowane niesympatycznie i nastręczały tylko powód do nieskończonych utyskiwań, w których przedstawiciele polskiej narodowości wykazywali ducha nieprzejednania. Ugoda z kuryą rzymską w kościelno-hierarchicznej kwestyi, zamiast uporządkować stosunek między rządem a katolicką kościelną administracyą, wytworzyła nowe trudności, a zarazem i nowy silny organ przeciw rządowej agitacyi. Niedawne smutne zajście z księdzem Morawiczem może tylko dolać oliwy do ognia tak z jednej, jak i z drugiej strony. Zasmucające nieporozumienia muszą się przecież kiedykolwiek zakończyć. Nie wdając się w rozbiór kwestyi, kto powinien do tego uczynić pierwsze kroki, mniemamy, że dla stron obu jest to koniecznem; i że *ktokolwiek zrobi początek*, odda *niemałą przysługę* dobru narodów i pokojowej ich pomyślności na przyszłość. *Żyć dłużej w takich stosunkach*, w jakich przez ciąg ostatnich lat dwudziestu żyli rosyanie z polakami, *niepodobna* ani jednym, ani drugim. Nowy *modus vivendi* staje się stanowczo niezbędnym. Bez żadnej wątpliwości kwestya ta nie może nie zajmować przodującego stanowiska w planach mężów stanu, zgromadzonych obecnie w Warszawie, i w umyśle ich Monarszego Rozkazodawcy. Okoliczności sprzyjają rozwiązaniu tej sprawy. Wśród licznych przedstawicieli narodowości polskiej, ucieszonych Najwyższą wizytą w ich stolicy, znajdują się ludzie rozumu i rady, pojmujący miarę możliwości. Nie przekraczać tej miary — oto co możnaby zalecić polakom, wobec nastręczającej im się sposobności poprawienia ich położenia. Słowa, wyrzeczone przez Najjaśniejszego Pana przy wjeździe do Warszawy do witających Go władz i przedstawicieli miejscowego społeczeństwa świadczą, że Jego serce równie bliscy są wszyscy poddani cesarstwa rosyjskiego i wszystkie narody, w skład jego wchodzące.“

„Żyć dłużej w takich stosunkach niepodobna“ — któżby się spodziewał, że te wy-

## Cholera w Neapolu.

Franciszek Petti, zarówno jak jego siostra Julia, do której poniższe listy pisał i które mi je, zamiast wiadomości o swym bracie, przesłała, byli dobrymi moimi znajomymi. On, jako zdolny rysownik i litograf, pracował w Neapolu, ona miała sklepik z koralami w Rzymie.

Neapol, 20 sierpnia 1884.

Kochana Julio. Niepokoisz się o nasze życie. Dzięki Bogu, wszyscy jesteśmy zdrowi: żona wygląda, jak Madonna di Foligno, a dzieci, jak aniołki. Rzeczywiście, zaraza szerzy się z piorunującą szybkością: onegdaj umarło 30 osób, wczoraj 50, a dziś podobno jeszcze więcej. Ale ja mam jakąś dziwną wiarę, że nas nie dotknie. Nie wiem, czy ci znajomy jest następujący fakt. Pamiętasz, że przed siedmiu laty przybyłem do Rzymu, ażeby cię odwiedzić i przyjrzeć się ceremonii wyboru nowego papieża. Ponieważ wyjechałaś do Bolonii, więc włóczyłem się przez całe dnie po mieście. Nudząc się bez zajęcia, zaszedłem do litografii Venutellego, gdzie niegdyś praktykowałem. Właśnie w tej chwili przyniesiono wiadomość, że papieżem obrany został kardynał Pecci. Venutelli kazał przygotować portrety kilku kardynałów, najgodniejszych stolicy apostolskiej; był między nimi i Leon XIII. Natychmiast zaczęto jego portret w różnych formatach odbijać. Gdy Venutelli obejrzał pierwsze egzemplarze, aż krzyknął: „Oszaleliście, taki chudy, surowy, czy to papież tak powinien wyglądać?!“ Rysownicy poprawili twarz i odbili znowu. Daremnie — ostry wyraz nie ustąpił a nawet wykrzywił się jakimś nieprzyjemnym grymasem. Wściekły Venutelli wrzeszczał, tupiąc nogami: „Wy wiecie tylko, że papieżowi trzeba podnieść dwa palce w górę, a gdzie dobroć, łagodność, świętość, anielstwo!“ — „Kiedy portret podobny“ — zauważył jeden z rysowników. „Głupi pan jesteś — ryknął pryncypał — o to nie chodzi! Nie powinien być podobny, ale miły, uśmiechnięty, słyszysz pan — uśmiechnięty. Takiego suchego jezuity, jak ten, nikt nie kupi.“ Wszyscy potracili głowy. Wtedy ja wziąłem pędzelek, zrobiłem kilka zmian w twarzy kardynała, odbiłem i pokazałem Venutellemu. Buchnął radością: „To, co innego, to jest ojciec święty.“ Ściskał mnie, całował i zaprosił na obiad. Nazajutrz odjechałem do Neapolu. W kilka dni odbieram list: „Kochany Panie Franciszku! Zwycięstwo, zupełne zwycięstwo, które po części zawdzięczam Panu i dlatego dzielę się z Tobą radosną wiadomością. Papież ze wszystkich przedstawionych mu portretów za najlepszy uznał mój. Nie skryłem pańskiego udziału, za co ojciec święty przesyła Panu osobne błogosławieństwo. *Venutelli.*“ Od tej chwili, droga siostro, wierzę, iż mnie każde nieszczęście a więc ta przeklęta cholera ominie! Wczoraj zmarł w naszym domu pieczętarz, ale ja się niczego nie boję. I ty bądź dobrej myśli. Zresztą pisywać będę codzień. Twój *Franciszek.*

Neapol, 21 sierpnia 1884.

Kochana Julio! Zaraza morduje, jak rozszalały zwierz. Ludzie tracą zmysły z obawy i rozpaczy. Dziś przypatrywaliśmy się z okna strasznemu widowisku. Jakaś stara kobieta, która straciła jedynego syna, zaczęła tańczyć na wybrzeżu, śmiejąc się dziko i klaszcząc w dłonie. W zapamiętałych pląsach wykrzykiwała ustawicznie: „Filip, lip, lip!“ Zebrał się naokoło niej tłum ludzi, gdy ona nagle stanęła, umilkła i utkwiwszy sztywny wzrok w twarzy obcego starca, zawyła: „Ty przeklęty żydzie tułaczu, ty sprowadziłeś nam cholerę, ty zabiłeś mojego Filipa.“ I rzuciła się na niego. Starzec zaczął uciekać, ale tłum zabiegł mu drogę i, jak gdyby porażony obłędem, chwycił go i strącił w morze.

razy będą kiedyś wydrukowane w kolumnach *Now. Wremieni*. Skąd one się tam wzięły?

Wreszcie, mniejsza o to; ale jeżeli *Now. Wremia* powiada, że „rozprawy o pojednaniu były przyjmowane niesympatycznie“ u nas, toniechże nam pozwoli przypomnieć sobie popisy Stranników, Mołczanowów, cały szereg złorzeczeń, przeciwko społeczeństwu polskiemu ciśniętych. Czy to one miały być owym „początkiem,“ oddającym „niemałą przysługę dobru narodów?“

W prasie rosyjskiej *Nowoje Wremia* jest drugiem z rzędu tych, które za szerzenie waśni i nienawiści na nikogo kamieni rzucać nie powinny. Może jeszcze nie zdążymy powtórzyć słów gazety petersburskiej, gdy w niej ukaże się znowu, bez żadnego na nie względu i bez żadnego z polskiej strony powodu, jakiś akt oskarżenia, którego wnioski równoważą się z paragrafem kodeksu, skazującym na dożywotnie roboty ciężkie. A my? My i ten akt zakomunikujemy czytelnikom naszym, którzy przeczytają go i wraz z nami ironicznie się uśmiechną. Śmiech na dłużej starczy, niż gniew, a za dużo wytoczono nam tego rodzaju procesów, ażebyśmy o nie gniewać się mogli. Polacy nie odznaczali się w przeszłości spokojem, za to teraz objawiają go tyle, że on pokryje ich błędy dawne.

Gdyby ostatni artykuł *Now. Wremieni* nie był kaprysem lepszego humoru, lecz wyrazem zmienionych zapatrywań bodaj w łonie redakcyi tego pisma, przywiązywalibyśmy do niego wagę; ale doświadczeni w przeskokach dzikiej logiki, która zdolną jest nieraz wyciągać nieprzewidywane przez nikogo wnioski i wymaga od swych czytelników zatraty pamięci z dnia na dzień—regestrujemy tylko fakt, który wyskoczył jak grzyb z jesiennym deszczem i jak grzyb wkrótce spróchnieje.

---

## „SAMOBYTNOŚĆ“ CYWILIZACYI.

*Journal de St. Petersbourg* w jednym z ostatnich numerów artykułem pełnym rozsądku i bardzo trafnych poglądów starał się zniżyć temperaturę „samobytniczo“-sławianofilskiej gorączki p. Aksakowa. Chodziło o to: czy Rosya powinna korzystać z doświadczenia europejskiej cywilizacyi, czy też uznać, że prawa rozwoju Zachodu nie obowiązują na Wschodzie, pokazać plecy francuskim, niemieckim i angielskim wymysłom i iść swoją, zupełnie oryginalną drogą?

Zawikłane zadanie, postawione przez moskiewskich słowianofilów, rozpada się na następujące, bardziej szczegółowe, kwestye: czy cywilizacya Zachodu jest istotnie zgniłą? czy w takim razie Rosya ma wstępować w ślady narodów, rozwiniętych pod wpływami Rzymu (państwa bardziej, niż papiestwa)? co było przyczyną tych ujemnych zjawisk, które każą p. Aksakowowi pożądać wycofania się z drogi, obranej przez Piotra Wielkiego, a popieranej przez t. z. „zapadników?“

Życie społeczne składa się z trzech przejawów: pojęć, uczuć i zewnętrznych (stworzonych nie przez naturę, chociaż pod jej wpływem powstałych) warunków bytu, których wyrazem są instytucye. Suma nabytków w tych trzech działach nazywa się cywilizacyą, a rozwój ich jest rozwojem cywilizacyi. Zastosujmy teraz teoryę zgnilizny szczegółowo do każdego pojedynczego przejawu.

Usystematyzowane pojęcia stanowią naukę, ona dziś je wytwarza, rozwija, kontroluje; ona jest w tej sferze samowładną panią (na Zachodzie), na nią więc spada wszelka odpowiedzialność za zboczenie i wynaturzenie myśli i przekonań ludzkich. Nauka w obecnej dobie dąży stale w określonym kierunku, zbliża się we wszystkich gałęziach do najdoskonalszego typu, do ideału, do takiego stanu, w jakim dziś już jest matematyka, astronomia i w znacznej części fizyka, t. j. twierdzenia jej stają się coraz bardziej prawdami *dowiedzionemi*. Rzecz więc oczywista, że o zgniliznie pojęć na Zachodzie między ludźmi, ściśle i poważnie myślącymi, mowy nawet być nie może.

Zupełnie do tego samego wyniku dojdziemy, porównawszy dzisiejsze społeczno-polityczne warunki bytu narodów Zachodu z tem, co się tam działo sto, a nawet pięćdziesiąt lat temu. Dodatnie rezultaty życia widoczne są ze wszystkich punktów.

Na wytworzenie i kierunek uczuć wpływają pojęcia, uczucia ze swojej strony tworzą czyny, instytucye. Dodatni rozwój urządzeń możliwy jest tylko po dodatnim moralnym rozwoju ludzi. Z faktu więc pożądanego postępu w sferze myśli i warunków bytu koniecznie wyprowadzić trzeba wniosek, że Zachód wcale nie samolubnieje, nie gnije.

Zwarłszy w kilkudziesięciu wierszach odpowiedź na powyższe pytanie, nie mogliśmy naturalnie wyczerpać przedmiotu, chodziło tylko o przedstawienie ogólnego zarysu poglądów. Mając go przed oczyma, łatwo już dopełnić szczegóły. Jest to zresztą sprawa tak jasna, że to, cośmy powiedzieli, usunąć w zupełności powinno wszelką wątpliwość.

Przejdźmy do wpływu Zachodu na Rosyę.

Algiebra przeszła do Europy przez ręce arabów aż z Indyj. Mechanika, fizyka, biologia jednym niemal ciągiem idą z Egiptu do Grecyi, Rzymu, Francyi, Niemiec, Polski. Nauka jest zupełnie kosmopolityczną. Na wszelkim gruncie prawo Dekarta o odbijaniu się światła jednakowo obowiązuje; byłaby więc śmiesznością, przed którą chyba nawet każdy samobytnik się cofnie, rada, że należy się odgrodzić, czy unikać zapożyczania wyników wiedzy zachodniej.

Rozbiwszy na szczegóły ogólne pojęcia o uczuciach altruistycznych, potrzebnych dla istnienia społecznego, jako łączące węzły, otrzymujemy bardzo znane popędy i właściwości duszy: przywiązanie, pobłażliwość, cześć, dobroć. W zdrowo rozwijających się narodach suma takich cnót musi być dużą, musi wzrastać, inaczej byłoby gnicie, rozkład. Przenikanie więc uczuć altruistycznych z Zachodu na Wschód, czy to za pomocą jakiegoś kultu, czy sztuk pięknych, poezyi, powieści (nie liczymy pojedynczych złych ziaren) tylko korzyść przynieść może. Bo gdyby nawet, dzięki jakiejś protekcyi Opatrzności, Wschód bardziej był uposażony w uczucia, będzie to tylko dmuchanie z wiatrem, od którego przecie napięcie żagli się nie zmniejszy. Ostatnia uwaga jest ustępstwem dla uniknięcia niepotrzebnego sporu, ale, usunąwszy przesądy i uprzedzenia na bok, musimy przyznać, że w zachodnich społeczeństwach suma spo-

---

Woda przy brzegu była płytka; nieszczęśliwy jednak, spadłszy ze znacznej wysokości, roztrzaskał sobie głowę na kamieniach. Uciekliśmy od okna. Żonę moją ogarnęło takie przerażenie, że nie mogłem jej uspokoić. W nocy zrywała się ustawicznie, krzycząc, że widzi żyda wiecznego tułacza. Dotąd jest rozdrażniona. ale mam nadzieję, że ten stan przejdzie. Byliśmy wszyscy na mszy i modliliśmy się gorąco; Bóg ludziom grzesznym odmawia, ale prośby dzieci zawsze wysłucha. A Wiktorek, Basia i Ludwiś błagali go o zdrowie gorąco. Niech i ciebie niebo strzeże. *Franciszek*.

Neapol, 22 sierpnia 1884.

Siostro moja, zapłacz nade mną: dziś, po kilkunastogodzinnych zaledwie cierpieniach, umarła żona. W gmachu moich nadziej niespodziewany piorun zrobił straszny wyłom. Do tej chwili nie mogę się opamiętać. Budzę tę moją najdroższą, zdaje mi się, że ona śpi, przecież w cholerze letargi zdarzają się często. Całowałem ją, wołałem sam, wołałem z dziećmi, topiłem na jej ciele lak — leży martwa. Przecież gdyby słyszała naszą rozpacz, gdyby do jej serca dostał się jęk najukochańszego z naszych dzieci, Ludwisia, złamałaby władzę pozornej śmierci. Pisząc ten list, ciągle spoglądam na nią, czy nie drgnie — w oczach migają mi pozory utajonego jej życia, ale wkrótce przekonywam się, że to tylko pozory. Ach ten złowrogi starzec, ten żyd tułacz! On ją zabił, jego widmo nie odstępowało jej ani na chwilę. Konając, jeszcze odpychała go od siebie. A jeśli ona w letargu? Ja jej pogrzebać nie dam! Policya przychodziła do mnie, żebym zaraz ciało uprzątnął. Schowam ją, będę czekał tydzień, dwa, trzy. Aniele mój najlepszy, przyjaciółko wierna, serce szczerą miłością bijące, ty mnie opuszczasz? Małgorzato, Małgorzato, niech mi cię niebo wróci, bo nawet ono nie będzie umiało tak cię wynagrodzić za twoje cnoty, jak ja cię kochałem. Matko boska, najlitościwsza opiekunko nasza, wskrześ mi żonę. Zedrę stopy na pokornych pielgrzymkach do twoich kościołów, wszystkie od pracy wolne godziny poświęcę modlitwie, wyżłobię kolanami doły przed każdym twoim ołtarzem i łez w nie dziękczynnych naleję — tylko niech moja Małgorzata zmartwychwstanie. Nie rusza się... skostniała... czarne plamy rozpościerają się na jej ciele. Umarła! Boże, ojcze nasz, umarła. Przez głowę przesuwa mi się czarna opona, na której widzę żyda wiecznego tułacza. Grozi mi! Nie mogę pisać. *Franciszek*.

Neapol, 24 sierpnia 1884.

Nie dziw się; zdruzgotany pierwszym gromem, nie odczułem drugiego. Wczoraj umarła moja córeczka. Wynieśli ją i pogrzebali razem z matką, która jak gdyby uczuła drogie ciałko i przycisnęła je do swojego łona. Pozostało mi już tylko dwu synków. Patrzę na nich i szukam śladów zarazy. Obaj zdrowi, trzymają się w objęciach i płaczą. Mnie czasem potoczy się łza wielka, gorąca. W oczach czuję żar, w sercu bolesną ranę, a w głowie zamęt. Świat kręci się koło mnie, a ja nie mogę uchwycić w nim żadnego związku. Paraliż ogarnął całą moją duszę. W mieście słyszę krzyki rozpaczliwe, cholera dusi ofiary już nie dziesiątkami, ale setkami. Wszystko to nic mnie nie obchodzi. Bez celu i myśli wyszedłem dziś nad brzeg morza i przez kilka godzin topiłem wzrok w jego łagodnie igrających falach. Skoczyłbym w otchłań, gdyby nie ta resztka świadomości, która mi dla dwojga dzieci żyć każe. Znikąd, znikąd pociechy! Co to za okrutny potwór—śmierć! Czy niebo naszych boleści nie rozumie? Uśmiecha się taką pogodą, jak gdyby pod jego sklepieniami ludzie obchodzili najradośniejsze wesele. Wyglądam chmurki, wyglądam znaku, któryby pokazał, że tam przed tronem Boga odbija się żałobą nasz smutek: nic, czysty lazur nie mąci się ani jednym obłoczkiem. Zapuszczam weń wzrok, patrzę, czy z po za tej niebieskiej opony nie wyjrzy skrzydlata dusza mojej żony lub

łecznych uczuć jest o wiele większą, niż gdzieindziej.

Najzawikłańsza i jedynie podlegająca wątpliwościom jest kwestya wpływu wzorów europejskich na rozwój społecznych i politycznych urządzeń w Rosyi. Istotnie przeszłość i teraźniejszość tej ostatniej mocno się różni od dziejów Zachodu. Mówiąc ściśle, niepodobna powiedzieć, że Francya kiedykolwiek przechodziła ten okres rozwoju, w jakim obecnie znajduje się Rosya. Słusznie więc może wnioskują samobytnicy, iż przyszłość potoczy się odmienną koleją. Przypatrzmy się jednak bliżej tej sprawie. Historya ludzkości, to przedewszystkiem historya walki o byt z wrogiemi prawami natury i zdobywanie nad niemi jak największej przewagi. Ustrój społeczny udoskonala się głównie wskutek przyrostu środków materyalnych. Wpływy miejscowe mają drugorzędny charakter, one życiu nadają koloryt, ale na kształt rozwoju nie oddziaływają wcale.

Najwyższym zadaniem ludzkości całej i pojedyńczych społeczeństw jest zachowanie istnienia. Doskonały ustrój będzie taki, który pozwoli na największą produkcyę i utrwali wewnętrzny ład. Ostatni warunek wypływa zresztą z pierwszego, bo istnienie rozterek i niezadowolenie pewnej części osłabiłoby siłę całości. Ponieważ prawa, rządzące wytwarzaniem, są jednakowe pod wszystkimi stopniami geograficznej długości, a ludzie na wschodzie i na zachodzie różnią się od siebie tylko *stopniem* rozwoju umysłowych uzdolnień i większą lub mniejszą ilością *tych samych* uczuć i potrzeb, więc ideał i tu i tam musi być jednaki. Jeżeli zaś punkt wyjścia i ostateczny kres wędrówki jest wspólny, klimatyczne, historyczne, rasowe odrębności wpłynąć mogą na to, iż jedni pójdą bardziej na lewo, inni na prawo, ale nie mogą się kierować w strony tak przeciwne, jak przód i tył. Ponieważ dalej zachodnia Europa wyprzedziła Rosyę pod względem społecznego rozwoju, t. j. bliżej jest ideału (ideał ten może być granicą, której nigdy rzeczywistość nie dosięgnie, ale go trzeba mieć przed oczyma, aby módz rozumieć ruch dziejowy), na co dowodów jest bardzo dużo, a najkrótszy do wyrażenia ten, że zachodnie instytucye wywarły silny wpływ, a same żadnemu nie uległy, rozsądek więc i korzyść własna wymaga, aby Rosya brała ze starszych, czy szczęśliwszych przykłady dodatnie, oryentując się w którą stronę dążyć należy, i ujemne, wystrzegając się fałszywych kroków, złudzeń itp.

Gdyby jeszcze Rosya, mając odrębną cywilizacyę, ustrzegła się oddziaływania obcego aż do dziś, można byłoby łudzić się jakąś nadzwyczajną samobytnością. Ale tak nie jest, wpływy wsiąknęły w samo życie, tam działają, działać będą i wyrzucić się na zewnątrz nie dadzą. Trzebaby się chyba było wyrzec takich istotnie cywilizacyjnych nabytków, jak np. zniesienie niewolnictwa chłopów, które przecież przyśpieszone zostało na wiele i wiele dziesiątków lat przez wpływ pojęć i wypadków na Zachodzie.

Widzieliśmy w dziejach fakt, że wzorowe urządzenia społeczne rzymskie wraz z katolicyzmem zaszczepione zostały u odmiennie rozwijających się plemion celtycko-germańskich i czysto-germańskich i wyszły im na dobre.

Dlaczegoż na wschodzie Europy miałoby się stać inaczej?

A jednak zaprzeczyć nie można, że nie wszystkie nabytki cywilizacyi działają w Rosyi, jak należy i że narzekania p. Aksakowa mają pewne uzasadnienie. Słowianofile odsądzają za to od czci i wiary *zgniłą* cywilizacyę przeżytych narodów. Ale przyczyna złego nie tu tkwi. Należy samobytnikom przypomnieć pewną bajkę rosyjską, której tytułu i autora nie pamiętamy. Chłop stawiał sobie chatę i nie szło mu, wyłajał więc topór i odrzucił go, a natomiast uciekł się do noża. Toporem w Rosyi jest cywilizacya, stworzona przez potężnych spadkobierców Rzymu. Czy nie wypadałoby szukać przyczyny złego w samych sobie i wziąć się do zbadania, czy topór był używany umiejętnie? Radykalizm rosyjski, dowiedziawszy się z teoryi, wytworzonych na Zachodzie, o kresie swych dążeń, zapomina o dzielącej odległości i pragnie go dosięgnąć jednym skokiem, nic więc dziwnego, że wpada w rowy i krwawi sobie głowę o kamienie.

Mechanika ciał niebieskich jest nauką bardzo jasną i prostą, ale, jak się do niej weźmie ktoś bez umiejętności matematyki, straci tylko czas napróżno. Braku dziejowego urobienia zastąpić nie da się niczem, ale niecierpliwość radykalizmu i pochopność do karkołomnych praktyk okiełznać można gruntownością studyów socyologicznych. Nam się zdaje, że jedyny sposób uchronienia Rosyi od smutnego zamętu niegodzących się żywiołów, w jaki się co dzień więcej pogrąża, zawiera się właśnie w użyciu tej uzdeczki.

*J. de St.-Petersb.* jest zupełnie tego samego zdania i radzi p. Aksakowowi zużyć potęgę swego patryotyzmu w tym kierunku. Tylko, że kto długo opiewał przymioty i wyższość geniuszów różnych ras i narodów, ten do poważnej pracy albo nie miał nigdy zdolności i przygotowania, albo je utracił. Któż więc to zrobi i czy zrobi? Naturalnie, przyszłość, gdy nauczona ciężkiem doświadczeniem teraźniejszości, zrzecze się na zawsze fantazyi o samobytnictwie.

Oto wszystko, co chcieliśmy powiedzieć, zabierając teraz głos w tej sprawie. Poruszenie najbardziej zasadniczych punktów wystarczyłoby zupełnie, gdyby chodziło o oświetlenie stosunków rosyjskiego społeczeństwa, ale, niestety, wśród naszej inteligencyi istnieją żywioły, wyznające aksakowskie przekonania, jeżeli nie w treści, to przynajmniej w kierunku, którym odrębności rasowe i posłannictwa mącą jasny pogląd na rzeczywistość. Ale chcąc do nich przemawiać, trzeba byłoby nie ograniczyć się na ogólnym wstępie, lecz zwracać uwagę na tysiące rozmaitych szczegółów i względów.

*K. T.*

---

## Niemieckie kolonie

**na zachodnim brzegu Afryki.**

Kiedy rząd francuski pod kierownictwem Ferry'ego zaczął się coraz bardziej wciągać w politykę kolonialną, nieprzejednani jego wrogowie wznieśli okrzyki potępienia. Sadowienie się za morzami miało przynieść fatalne skutki dla państwa, a szczególniej zaszkodzić interesom klas pracujących. Według zapewnień opozycyj, „awantury“ oportunistów były ni mniej ni więcej tylko intrygą ks. Bismarka, który wyprawiał Francyę do Azyi i Afryki, a sam tymczasem szerzej i gęściej rozpościerał pajęczynę swych wpływów i polityki w Europie. Stawiano za przykład Anglię, która jakoby gorzko miała żałować swych kolonizacyjnych upodobań w przeszłości.

Nie będę się wdawał w zawikłane ekonomiczne wywody o dodatnim lub ujemnem wpływie dla państw europejskich na-

---

dziecka. Nie widać nikogo. Uciekam do domu — cicho, martwo, chłopczyki całują się i płaczą. „Mama—pytają—nawet jutro nie wróci? Ani Basia?“ Odpowiedzieć im nie mogę, gardło zaciska mi się kurczem, siadam, znowu pragnę iść gdzieś, sam nie wiem dokąd. Upadam na kolana, modlę się, ale wkrótce usta sztywnieją i znowu tężeję. Boże, ulituj się. Nie może, czy nie chce? Jakie prawo i za co tak mnie karze? Czyżby ten żyd tułacz... Och, mrok mi na myśli zapada... *Franciszek.*

Neapol, 26 sierpnia 1884.

Julio droga, dziś rano skonał Wiktorek! Matko najświętsza, która tyle cierpiałaś, wstaw się za mną przed Bogiem! Przecież żyłem cnotliwie, sumienie moje nie zardzewiało w grzechach. Precz te daremne błagania! Kogo ludzie ratować nie mogą, a Bóg nie chce, tego morze nie odtrąci. Wabi mnie ono ku sobie nadzieją spokoju. Ale pozostał jeszcze Ludwiś, najukochańsze z naszych dzieci, czyż mam go opuścić? Biedny odurzał zupełnie śród strasznych widoków, błędnemi oczami wodzi naokoło siebie lub zwraca je ku mnie. Nie wytrzymam w tym przeklętym domu, z którego kątów wyzuwa się ku mnie żyd wieczny tułacz ze swą krwawą chustą. Porzucę wszystko, wezmę na ręce dziecko i schronię się do kościoła. Tam mnie cholera nie dosięgnie, progów świątyni nie przestąpi. Boleść podarła mi serce w szmaty, zostawiła tylko jeden strzęp, w którym tkwi niepokój o to ostatnie dziecko. Jeżeli mnie prześladowała jakaś tajemnicza zemsta, to chyba już nasyciła się trzema ofiarami. On, przynajmniej on ocaleje. Dźwignę całe brzemię nieszczęść, gdy on koło mnie iść będzie. Boże, nie powołuj go do siebie, chociaż ci miłą jest jego anielska duszyczka. Tak, cudowny przybytek Chrystusa osłoni mnie. Uciekam. Cholera do okien zagląda, u drzwi szemrze... Ratunku! *Franciszek.*

Neapol, 1 września 1884.

Mieszkam w kościele. Na duszę moją spadł pierwszy balsam. Ojciec święty wydał do duchowieństwa list, w którym pisze: „Tym, którzy w oznaczonym czasie będą obecnymi na publicznem odmawianiu Różańca i w myśl naszą modlić się będą, jako też i tym, którzy ze słusznych powodów w domu to uczynią, udzielamy na każdy raz odpustu 7 lat i 7 kwadragen. Tym, którzy to samo uczynią przynajmniej 10 razy w kościele lub ze słusznych przyczyn—w domu, którzy, wyspowiadawszy się grzechów, Najśw. Sakrament przyjmą, odpustu zupełnego udzielamy. Całkowitego odpuszczenia grzechów i kar udzielamy także wszystkim tym, którzy albo w samą uroczystość Różańca świętego, albo w którybądź dzień całej oktawy duszę z grzechów oczyszczą, do Stołu Pańskiego z nabożeństwem przystąpią, i również w myśl Naszą w którymbądź kościele do Boga i Matki Jego Świętej modlić się będą.“ Skarżyłem się, że ojciec św. obiecuje tylko odpuszczenie grzechów, a nic nie mówi o skuteczności różańca przeciwko cholerze, ale spowiednik upewnił mnie, że to się samo z siebie rozumie. Więc odmawiam różaniec; ach, Julio, jak ja gorąco się modlę. Mam nadzieję. *Franciszek.*

Neapol, 3 września 1884.

Ludwiś umarł przed ołtarzem. Nie pytaj o mnie. *Franciszek.*

* *
*

Na kopercie listu, który niespokojna Julia wysyłała do swego brata, poczta neapolitańska odnotowała: „Niedoręczony z powodu utopienia się adresata.“

*W. O.*

---

bywania posiadłości w innych częściach świata, ale zwrócę uwagę na zewnętrzne okoliczności. Ks. Bismark, którego powstrzymywanie się od kolonialnej polityki uważano za wynik doświadczonej mądrości politycznej i społecznego dalekowidztwa, chwycił się teraz za nią obu rękami. Anglia nietylko nie myśli zmieniać postępowania w tym względzie, ale zadrżała aż z przerażenia, ujrzawszy nowego a groźnego współzawodnika. Widać więc państwu korzyść to przynosi, a czas dla doświadczeń i rozwagi był aż nadto długi. Rozłączanie zaś w danym wypadku widoków państwa od interesów klasy pracującej bodaj czy ma podstawę, bo gdyby korzyści były tylko maską istotnego stanu rzeczy, to ta w Anglii oddawna by już spadła, a na Zachodzie politycy z zadowoleniem i uznaniem tłumów liczyć się dziś muszą, jako z pierwszym warunkiem.

Nic jednego dziwić to musiało, że Niemcy nie pomyślały dotąd o uchronieniu tylu dziesiątków tysięcy swych obywateli, jacy co rok opuszczają kraj, od zatraty dla ojczyzny. Rzeczywiście różne osoby i całe towarzystwa (geograficzne, geologiczne itd.) zwracały oddawna uwagę rządu i ogółu na potrzebę kolonij; utworzył się nawet „Powszechny niemiecki kolonialny związek,“ mający na celu szerzenie myśli o potrzebie osad za oceanem. Powstało nareszcie „Towarzystwo kolonizacyi niemieckiej,“ organizujące przesiedlanie się i nabywanie ziemi w okolicach zatoki Wielorybiej (Walfischbai). Jednocześnie dowiedział się świat, z pewnem nawet zdziwieniem, o istnieniu 60-ciu faktoryj niemieckich na zachodnim brzegu Afryki, które rząd nie waha się wziąć pod swoją opiekę (prócz tego próbowano zakładać osady na wyspach Sandwich i w Nowej Gwinei).

Niezależnie od ogólnych teoryj o kolonizacyi, zjawia się pytanie: czy niemcy nie przychodzą za późno, już po zajęciu wszystkich istotnie coś wartych krain i czy niechęć i współzawodnictwo anglików pozwoli im korzystać z zabiegów dzisiejszych?

Ażeby odpowiedzieć na to, trzeba przyjrzeć się szczegółom sprawy.

Najprzód zaczęto mówić i najwięcej dotąd powiedziano o Angra-Pequenie (po portugalsku, mała zatoka). Jestto osada, położona na północ od rzeki Pomarańczowej (Orange) w punkcie, gdzie 27 równoleżnik południowej szerokości przecina granicę między wodami Atlantyckiego oceanu i afrykańskim lądem. W roku bieżącym założył tu faktoryę Lüderitz, kupiec z Bremy. Początkowo anglicy śmieli się z niemieckiego pomysłu, bo kraj naokoło osady świeci nagiemi skałami i pokładem kamyków kwarcowych. Flora reprezentowaną jest przez karłowate drzewka hebowe i liche krzaczki mimory. Ze zwierząt lęgną się jedynie węże i skorpiony, a koczują szakale. Wodę do dziś trzeba przywozić parowcem z Kapstadtu, a klimat, choć nie zabójczy, nie odznacza się świetnymi przymiotami. Przedsiębiorczy jednak Lüderitz wyprawił swego pełnomocnika Hermana Vogelsanga na Wschód, gdzie znaleziono żyzną ziemię siedziby misyonarzy i plemię hotentatów, które chętnie zawiązało z przybyszami stosunki. Król afrykański dał kawał dobrej ziemi na założenie wzorowego gospodarstwa niemieckiego, a przez handel zaczęto dostawać strusie pióra, bydło, skóry itp. rzeczy. Prócz tego w morzu i na wyspach dostrzeżono wielce pożądane bogactwa: wieloryby, jaja bezlotków, guano, ryby; a na samym kontynencie — żyły miedzi i pokłady rudy żelaznej.

Wobec tego anglicy zaczęli brać się do stawiania przeszkód. Prócz innych względów pewien wpływ na usposobienie synów W. Brytanii musiało wywrzeć i to, że po założeniu własnych kolonii, niemcy przestaną prawdopodobnie być doskonałym i pomocniczym materyałem do zaludniania angielskich.

Pierwszym krokiem nieprzyjaznym był protest kupców kaplandzkich (16 maja) przeciwko wdzieraniu się niemców do Afryki. Gabinet Gladstona przez usta ministra kolonij Derby'ego tłomaczył zapalczywym rodakom, że nie mają prawa wyrzucać Lüderitza z jego posiadłości, ale ostatecznie na podstawie decyzyi parlamentu na Przylądku Dobrej Nadziei (16 lipca) ziemie, otaczające niemiecką osadę, zostały podciągnięte pod protektoryat Anglii. W odpowiedzi na zabiegi wyspiarzy ks. Bismark przesłał lakoniczny telegram do konsula niemieckiego w Kapstadt'cie: „Proszę oświadczyć urzędownie, że pan Lüderitz i jego ziemia znajdują się pod opieką państwa,“ a pełnomocnik rządu, przybyły z Przylądka Dobrej Nadziei, zatknął na dwóch domkach osady czarno-czerwonobiałą flagę. Na ile przeszkody ze strony anglików utrudnią, lub nawet uniemożliwią rozwój Angra-Pequeny — trudno przewidzieć. Według twierdzeń niemców, posiadłość Lüderitza zajmuje dziś pas ziemi od 26-o równoleżnika aż do rzeki Pomarańczowej, ciągnący się wzdłuż brzegu morskiego na 300 kilometrów i w głąb lądu na 150.

Jednocześnie prawie z osadzeniem chorągwi niemieckiej wpołudniowej Afryce, jeneralny pełnomocnik cesarza, dr. Nachtigal, objął w posiadanie państwa (14 lipca) kraj zwany Kamerunem. Jestto wybrzeże nad zatoką Gwinejską, położone między 4—4½ stopniem północnej szerokości i 26¼—27¼ wschodniej długości. Od dosyć dawnego czasu istniało tam sześć angielskich domów kupieckich, które prowadziły z sąsiedniemi plemionami murzyńskiemi handel zamienny, starając się nakłonić wodzów do przyjęcia protektoryatu W. Brytanii, a jednocześnie namawiały swój rząd do zajęcia się tą sprawą. W Londynie jednak nie widziano potrzeby pośpiechu.

Tymczasem w ciągu ostatnich kilku miesięcy firma Adolfa Woermanna, prezesa hamburskiej Izby handlowej, jak równie inny dom hamburski Jantzen i Thormälen, nabyła rozległe ziemie nad brzegami rzeki Kamerun, w okolicach portu Bimbia, a także prawa królików murzyńskich do zamieszkanych przez nich krain. Woermann osobiście prosił Bismarka o państwową opiekę, którą otrzymał.

Wzdłuż zachodniego brzegu Afryki, od Sierra-Leone aż do rzeki Pomarańczowej ciągnie się obecnie 60 faktoryj niemieckich, należących do 14 domów hamburskich i 6 bremeńskich. Jest więc znakomity podkład dla rozwoju przyszłych kolonij. Kamerun (8½ mil kw.) stanowi punkt najważniejszy, tam też ostatecznie osiądzie zapewne konsul.

W okolicach rzeki Kongo niemcy, prócz anglików, spotkają współzawodnictwo w Portugalii, i w popieranem przez Stanley'a „Międzynarodowem towarzystwie.“ W jaki sposób wobec tych dwóch sąsiadów postawi się Bismark, niewiadomo jeszcze. Słynny poszukiwacz Livingstona w liście, zwróconym do jednego z redaktorów pism niemieckich, stara się ostrzedz kanclerza przed chytrymi politykami lizbońskimi i nakłonić do popierania jego planu. Z listu tego dowiadujemy się, jak w projekcie wygląda wolne państwo nad brzegami Kongo, któremu przeszkadzają portugalczycy.

Towarzystwo poręcza w granicach swego terytoryum wolność handlu i pracy dla każdego kupca, osadnika, misyonarza. Żaden naród nie będzie miał pierwszeństwa przed innym, użyte zostaną wszelkie środki do ożywienia handlu, a osadnicy otrzymają najlepsze ziemie, wszyscy— możliwą pomoc i obronę. „Towarzystwo, posiadając w swym ręku znaczne sumy, stanowiące procent od funduszu, powstałego ze składek, a które hojnie pokrywają rozchody zarządu, będzie corocznie wydawało pewną kwotę na roboty publiczne: na drogi żelazne i regulacye wód. Towarzystwo przeprowadzi linie komunikacyjne we wszystkich kierunkach, gdzie tylko zajdzie potrzeba. Drogi żelazne, parostatki, telegrafy stanowić będą własność państwa, w ten sposób usunięty zostanie szkodliwy dla pojedynczych osób monopol wielkich spółek. Towarzystwo nie będzie brać udziału w handlu, ale da pomoc i obronę każdemu, kto się niem zająć zechce. Mówiąc krócej, Kongo będzie wolną respubliką, otwartą dla wszystkich bez różnicy narodowości, wiary, lub koloru skóry, gdzie biały i negr korzystać będą z równych praw, gdzie żadne przedsięwzięcie, dążące do szczęścia ludzkości, nie napotka przeszkód, ani ograniczeń — pod jednym warunkiem zachowania praw, utrwalających i broniących istnienia respubliki. Ale dla urządzenia jej koniecznie trzeba zapewnić wolny wchód i wychód. Jeżeli to będzie zagwarantowanem, wprowadzenie innych rzeczy nie nastręczy żadnych trudności. Należy usunąć możność powtarzania się takich zjawisk, jak te, które miały miejsce w Transvaalu, którego naturalny port znajduje się w rękach portugalczyków. Kongo powinno być wolną respubliką nazawsze.“

Wątpić należy, czy tworząca się dopiero siła potrafi wytrwać wobec naporu zorganizowanych już potęg państwowych, prawdopodobnie więc jeżeli nie portugalczycy, to niemcy wprowadzą cła, ograniczenia itp. środki protekcyi pewnych żywiołów.

Widzimy więc jak nieznane kraje i bogactwa afrykańskie ożywiły ruch kolonizacyjny, a to zaledwie początek. *Kölnische Zeitung* opowiada o czterech statkach rządowych austryackich, które miały udać się na zachodnie brzegi Afryki i do południowej Ameryki, w celu odszukania miejsc dogodnych dla zakładania osad. Taż sama gazeta w entuzyastycznym artykule o pierwszych niemieckich koloniach mówi: „Bliska przyszłość gotuje nam jeszcze inne niespodzianki, mające związek z zachodnim brzegiem Afryki.“

---

## PANSLAWIZM

(według W. Łamanskaho).

### II.

Stronnictwo, które jakkolwiek nie jest dziś u steru ale daleko do tego, aby było zwycięzonem, najbardziej życzy sobie odroczenia terminu tego starcia i cieszy się nadzieją, że wprzód wojownicze Niemcy napadną na Rosyę. Niechże herezya i schizma pożrą się *ad majorem Dei gloriam*, niechaj dwie najpotężniejsze monarchie stałego lądu osłabią się i zrujnują na pożytek i chwałę rewolucyi demokratycznej i socyalnej! W tem wspólnem życzeniu łączą się czerwoni i czarni całej Europy. Jakkolwiek pomyślną byłaby walka dla potomków Hohenstaufenów, w każdym razie państwo protestanckie wyszłoby z niej na długo osłabione — ekonomicznie i militarnie wyczerpane. Wtedy wybiłaby godzina odwetu. Gwelfy rzuciliby się na gmach świeżo wzniesiony, a, stworzywszy mu nieprzejednanych wrogów na wschodzie, zaczęli by burzyć go od zachodu i południa.

Takiem jest znaczenie i zadanie oczekiwanego i upragnionego starcia między Niemcami i Rosyą. W tej przygotowanej pracy, jedna z ważniejszych ról należy się panslawizmowi austryackiemu wogóle a naczelne miejsce braciom naszym polakom, jako uległym służebnikom i wypróbowanym narzędziom ultramontanizmu.

Wobec liberalnych rosyan mówi się o wspólności pochodzenia i posłannictwie przeciw rozszerzającej się germanizacyi, a wobec rosyan zachowawców wystawianym bywa ochronny charakter papiestwa, jedynej ucieczki przed dążeniami rewolucyjnemi i przypominane piękne dni świętego przymierza i zbawienne zasady wielkiego Meternicha. W Niemczech zaś daje się do zrozumienia, że Polska rosyjska marzy tylko o wkroczeniu niemców, przyjmie ich z otwartemi rękoma, aby razem uderzyć na wspólnego wroga cywilizacyi.

Panslawiści austryaccy w Czechach a głównie w Kroacyi głęboko wierzą w bliskość walki świata słowiańskiego z państwem niemieckiem i wspólność interesów łaciników i słowian. Na tym punkcie różnica w zapatrywaniach między panslawizmem austryackim a rosyjskim, jest zasadnicza. Bezwątpienia, gdyby miało przyjść do wojny, Rosya ją przyjmie, powtarzając słowa Piotra Wielkiego, odnoszące się do Króla XII, iż Bóg jest przeciwko napastującemu — i walczyć będzie przeciwko germanizmowi z większą wiarą, wytrwałością, odwagą i o wiele dłużej, aniżeli wszyscy słowianie zachodni, w ich rozpaczliwych zapasach z niemcami.

Nie sądzimy wszakże, by ta mniemana walka drzemała w łonie przyszłości i była koniecznością bliskiej historyi. Odwieczna nienawiść i zajadła walka słowian zachodnich z germanami wynikały z cywilizacyi, której wpływom Rosya, ani słowianie wschodni, dzięki Bogu, nie poddali się. Romanizm był głównym przewodnikiem germanizmu w krajach słowiańskiego zachodu i on to skłonił te ludy, że stały się wasalami państwa Karola Wielkiego i jego następców. On z pomocą swych jezuitów obezwładnił i zdemoralizował słowaków, kroatów i polaków i prawie zgubił Czechy po bitwie pod Białą Górą. A chociaż w ostatnich czasach papiestwo zmieniło postępowanie względem słowian zachodnich i oświadcza się z przyjaźnią dla nich, nie ulega wątpliwości, że gdy usługi ich będą już zbyteczne, Leon XIII lub jego następcy poświęcą ich państwu Habsburgów — jak Grzegorz X zostawił w krytycznej chwili króla Ottokara II na łasce cesarza Rudolfa I.

Stosunki zaś Rosyi z Niemcami są zupełnie odmiennej natury. Wraz z grekami i innymi chrześcianami Wschodu, szanowaliśmy zawsze bardzo biskupa, czy patryarchę rzymskiego, o ile nie wykraczał przeciw zasadniczemu prawu chrześcianizmu, które utrzymywało i utrzymuje jedność wewnętrzną kościoła, i o ile nie ogłosił się z całą pychą namiestnikiem Chrystusa i naczelnikiem kościoła. Koronowanie Karola króla Francyi było w oczach naszych zawsze uzurpacyą zbuntowanego biskupa przeciwko swemu władcy naturalnemu — a Karola Wielkiego i jego następców nie uważaliśmy nigdy za prawdziwych i prawych spadkobierców Konstantyna Wielkiego i Justyniana I, a to tak dobrze w czasach, gdy uznawaliśmy prawa cesarzy i cesarstwo w Konstantynopolu, jak i gdy po upadku tego miasta Rosya sama została cesarstwem. W rzeczy samej nie zaprzeczaliśmy istnienia państwa Karola Wielkiego we Francyi lub Niemczech. Staraliśmy się zawsze być z niem w zgodzie i oddawać mu przysługi, byle tylko nie mieszało się do naszych interesów i nie wkraczało w dziedzinę naszego działania. Jeżeli dochodziło do walki, czy ona kończyła się pod Sewastopolem, pod Berezyną lub Paryżem, ani pod względem swych rozmiarów, ani skutków nie może być przyrównaną do zapasów słowian zachodnich z państwem franków lub germanów. Rosya z Niemcami sąsiaduje zbyt blisko, by od czasu do czasu, wskutek rywalizacyi przemysłowej i handlowej, nie było nieporozumień, lecz te nie zdolne wywołać wojny na śmierć lub życie. Byłoby to jeszcze możliwem, gdyby jedność niemiecką utworzyło nie protestanckie państwo, ale katolickie, to jest nie Hohenzollerny ale Habsburgi, którzy wzięliby sobie za zadanie uczynić z Niemiec armię papieską, skierowaną przeciw schizmie grecko-słowiańskiej i jej głównej przedstawicielce Rosyi. Cesarz Fryderyk II starał się i uzyskał przyjaźń cesarza nicejskiego i gdyby nie ówczesna bezsilność cesarstwa wschodniego, nie mogącego udzielić mu skutecznej pomocy, losy cesarstwa niemieckiego i Hohenstaufenów byłyby bezwątpienia wielce odmiennymi. Nie możemy przyznawać zbyt wielkiego znaczenia temu, co zwykle nazywają *Drang nach Osten* i wierzyć we wzmagające się najście ludności niemieckiej w ziemie słowiańskie. Sądzimy przeciwnie, że ze względu na zmniejszanie się stopniowe Europy, przy wzroście nieustannym innych części świata, Niemcy, korzystając z rozwoju swej marynarki wojennej i handlowej i z naturalnego biegu narodowej emigracyi, pójdą za przykładem Anglii i Francyi i starać się będą o zakładanie kolonij w Afryce i wzmocnienie żywiołu niemieckiego w Ameryce, który jeśli będzie dalej się rozwijał, za pół wieku dojdzie do miliona a nawet więcej dusz. Zaszczytne posłannictwo czeka narodowość niemiecką w Ameryce. Aglicy ograniczają się do swych kolonij, widoki samorządu powstrzymują irlandczyków od wychodźtwa, pozostają więc tylko Niemcy, by zaludnić i uprawić rozległe a dziewicze obszary Ameryki północnej.

Tym sposobem cywilizacya nowego świata tylko zyskać może, nie będąc przedstawianą przez jedną narodowość anglosaksońską i zasilając się drugą rasą, równie dobrze uposażoną, i posiadającą, pewne znakomite zalety geniusza germańskiego, których nie dostawało pierwszej. Tam jest prawdziwe pole dla rozmnożenia się niemieckiej rasy a nie w krajach słowiańskich, gdzie za każdem nowem pokoleniem osadnicy niemieccy natrafią na tysiące przeszkód i szykan dziennikarskich, zatruwających im życie i dobrobyt — i gdzie język niemiecki musi nieuniknienie spotkać się ze współzawodnictwem coraz szczęśliwszem języka rosyjskiego, pokrewnego wszystkim narzeczom w tych stronach i tak wybornie przygotowanego, by stać się kiedyś językiem wspólnym całej rasy, nie niszcząc jednak literatur różnych narzeczy.

Co do obecnej walki słowian zachodnich z germanizmem, to trzeba przyznać, że, prowadząc ją tak, jak dotychczas, słowianie muszą być na nieszczęście zawsze pokonanymi. Błędnem jest mniemanie, aby między nimi kultura niemiecka przez przymus rozszerzała się bardziej. Jakikolwiek byłby ustrój wewnętrzny Austryi, dopóki ona będzie miała wojsko, Radę państwową i inne instytucye centralne, musi zachować język państwowy. Słowianie austryaccy chociażby najliczniejsi lecz trzymający się swych narzeczy, nie mając wspólnego języka słowiańskiego, nigdy nie będą mogli obejść się bez znajomości gruntownej języka niemieckiego i używania go jak własnej swej mowy. Minister austryacki, człowiek nadzwyczaj zdolny, baron Bruck, powiedział bardzo słusznie, że żywioł niemiecki w Austryi tylko mógł zyskać, przyznając jak największą swobodę narodowościom słowiańskim i ich narzeczom. Walcząc z germanizmem, słowianie bronią często tylko romanizmu, zaprowadzonego u nich po wypędzeniu uczniów św. Metodego i odrzuceniu rytuału słowiańskiego — a odnowionego po szybkich postępach Husytyzmu i Reformacyi, przez sławne apostolstwo Ferdynanda II i jezuitów. W obu tych rasach zwycięstwu Rzymu towarzyszył tryumf germanizmu w tych słowiańskich krajach. Słowianie łacińskiego obrządku kręcą się zatem w błędnem kole, zapominając, że są niemcy dwojacy: protestanci i katolicy, i że walcząc z jednymi, często dopomagają drugim, służąc im za uległe narzędzie. W swych walkach narodowych słowianie używają nie równych broni, drobne ludy występują przeciwko wielkiemu narodowi, zjednoczonemu, który wyszedł ze stanu partykularyzmu, umiłowanego przez te ludy. Językowi literackiemu powszechnemu przeciwstawiają swe narzecza, ograniczone ich małemi terytoryami lub niewielką liczbą ich mieszkańców. Czyż niemcy nie byliby narzucili Wenecyi, przyłączywszy ją do Austryi, swej mowy, jako czynnika wyższej kultury i języka urzędowego, gdyby wenecyanie chcieli się trzymać swego dyalektu i odrzucili narzecze toskańskie?

Jakkolwiek pesymistycznie zapatrywalibyśmy się na położenie wewnętrzne Rosyi i krajów jednego z nią wyznania i rasy, trzeba przyznać, że obecny stan świata grecko-słowiańskiego, względnie do Europy, nie budzi zbyt groźnych obaw i nie nasuwa przewidywań, by czwarta krucyata miała nieuniknienie się powtórzyć a głównie szczęśliwie zakończyć. Pomimo, że tym razem zapewniłaby zwycięstwo germanom a nie łacinnikom.

Położenie naszego Wschodu wobec Zachodu w ubiegłych wiekach bywało nieraz ciężkiem a pozornie rozpaczliwem, ale Opatrzność ocaliła nas, jak gdyby chciała nas zachować dla przyszłości. Gdyby tej tak licznej części ludności chrześciańskiej nie należało się wybitne i wzniosłe posłannictwo w historyi, zniknęlibyśmy już oddawna i zostali czemś podobnem do traków i celtów, to jest, że inne ludy byłyby nas pochłonęły i zasymilowały, narzuciwszy nam swą cywilizacyę. Wierzymy jednak, że losy nasze są pomyślniejsze. Zasymilować się nie damy a powołani jesteśmy, by stworzyć nową odmienną, bogatą i oryginalną cywilizacyę, rozpowszechnić ją po różnych krajach i wszczepić innym narodom świata. To, co dziś posiadamy pozytywnego i godnego uwagi w naszych zdobyczach naukowych, w rozkwicie naszych sztuk i piśmiennictwa, jest zaledwie słabą wskazówką tego, do czego kiedyś geniusz rosyjski i słowiański, dosięgnąwszy swej dojrzałości, okaże się zdolnym.

Gdy Wschód nasz słaby nie mógł się bronić przeciw potężnemu i dumnemu nieprzyjacielowi, gdy siły nasze były rozdzielone i rozproszone,—Opatrzność sprowadziła na pomoc naszą barbarzyńców, a ostatecznie turków, którzy na długo byli postrachem Zachodu, a uciskając nas strzegli zarazem, aż do chwili, gdy wybiła godzina ukazania się naszego, jako niezależnych czynników, na widowni historycznej. Jeśli obecnie nie zjawia się obrońca, należący do innej rasy, jeśli nie mógłby się ukazać, jest to dla nas najlepszym dowodem, że go nasz Wschód już nie potrzebuje. Jest to znak pewny, że własne siły wystarczają mu do zabezpieczenia swej całości i niepodległości. Gdzie dziś spoczywa zaród tych sił, gdzie jest ich myśl przewodnia? Słowianie i chrześcianie Wschodu nie mogą pod tym względem mieć wątpliwości. W ludzie rosyjskim, pomimo że on jest tak mało wojowniczym, istnieje niewzruszona wiara, zbliżona do fanatyzmu, jak on niepokonana. Ilia Muromiec, ulubiony bohater naszych pieśni epicznych, zawsze zwycięski, a nigdy zwyciężony, miał razu pewnego nieszczęśliwą potyczkę z walecznym nieprzyjacielem. Pieśń mówi, że powalony Ilia myślał: „napisanem jest u świętych ojców, przewidzianem przez apostołów, że Ilia nie polegnie na placu boju, a teraz Ilia leży u nóg swego wroga.“ Ta myśl wróciła mu siły, potroiła je, i zabił przeciwnika.

My także wierzymy, że Rosya nie zginie w otwartej walce, lecz zemrze z późnej starości, jak wszystkie starożytne ludy, które dokonały swego zadania. Daleko jednak je-

szcze, zdaje się nam, do tego wieku. Nadto nie lękamy się dążeń i nie obawiamy zwycięstw panowania germańskiego na Wschodzie z następujących powodów. Narodowości łacińskie, jakkolwiek rozdrobnione i słabe mogą być w porównaniu z rasami germańskimi, nie wynika z tego jednak, aby te ostatnie miały wyniszczyć ludy rasy romańskiej i pochłonąć wszystko w polityce i w kulturze. Istnieją rzeczywiście ważne nieporozumienia między Francyą a Niemcami, między Włochami a Austryą, np. co do Tyrolu i do panowania na Adryatyku. Zatargów tych nie usuną ani zwycięstwa niemieckie na Wschodzie, ani liche naśladownictwo pomysłów napoleońskich, jak usiłowanie utworzenia rodzaju „Konfederacyi nadreńskiej“ na półwyspie bałkańskim.

W samym świecie germańskim liczne i wielkie panują niezgody. Holendrzy, duńczycy, a z nimi szwedzi i anglicy na kilku punktach mają dążenia przeciwne z niemcami. W. Brytania, usadowiwszy się silnie w Egipcie, aby utrzymać porządek w Indyach i Afganistanie, nie ma najmniejszej potrzeby zamyślać o zdobyciu jakichkolwiek ważnych pozycyj w krajach dawnego cesarstwa wschodniego. Wyrzecze się raczej Cypru, jak wyrzekła się wysp Jońskich, aniżeliby miała dopomagać niemcom katolickim do opanowania półwyspu bałkańskiego, a niemcom protestanckim do osiedlenia się w Archipelagu. W tej ostatniej kwestyi, jak wiadomo, daleko do zupełnej zgody. Panslawizm austryacki i parcie się Austryi ku południowi nie jest drogą prowadzącą do tego celu. Niezależnie od tych różnic w interesach politycznych i narodowych stara Europa ukazuje nam się podzielona na kilka Europ bardzo odrębnych. Europa Grzegorza VII i Bonifacego VIII, Piusa IX i Leona XIII, Europa Lutra i Kalwina, Europa z 1789 r. To jest katolicyzm Sylabusu, protestantyzm, podzielony na niezliczone sekty, wyznania, które ostatecznie zerwały z chrześcianizmem, skłaniając się do optymizmu lub pesymizmu, jak *nowa wiara* mieszczańska Strausa, wiara K. Marxa i czwartego stanu, *wiara przyszłości* Hartmana, którą należy jeszcze tworzyć na podstawie gruntownych badań starożytnych religij Wschodu.

Dawniejszą jedność Europy można dziś odnaleść chyba w tem, że każdy kraj wytwarza lub odbija głębokie rozterki, które rozbiły przekonania europejskie zgodne niegdyś. Wiara określa przedewszystkiem charakter jednostek i narodów i tworzy, jeżeli można tak się wyrazić, ich rzeczywistą jedność, gdy różnice radykalne w kwestyi przekonań dzielą coraz bardziej Europę na stronnictwa zawistne sobie i nieprzyjazne, z których każde usiłuje wytworzyć swą rozbitą jedność. Ze znikaniem zasady duchowej jedności, czyż nie chwycono się chciwie zasady narodowości, aby w niej znaleść ucieczkę i obronę przeciw rozprzęgającemu indywidualizmowi, który bez przerwy wzrasta.

Pomimo szczerego przywiązania i uczuć uwielbienia, szacunku i wdzięczności dla wszystkiego, co cywilizacya europejska stworzyła pięknego, wielkiego i nieśmiertelnego, wyznajemy, że, gdyby to było nawet możliwem, nie mielibyśmy odwagi, ani prawa życzyć naszej ojczyznie i innym ludom naszej religii i rasy, aby przestały być sobą i usiłowały stać się Europą. Któżąż z tych Europ, sprawiedliwe nieba?! — boć jest ich kilka, a każda z nich podając się sama za prawdziwą Europę, wyłącza inne. A czyż dla nich wszystkich nie jest korzyścią niezaprzeczoną, że w chwili, gdy gorączka narodowości uspokojona, a rozdwojenie moralne staje się widoczniejszem, zaczyna się ukazywać rasa, ziemia, świat cały, który, nie łącząc się całkowicie z żadną z tych Europ, zdolnym jest i usposobionym do większej sprawiedliwości i sympatyi względem każdej z nich, niż one czułyby dla swych przeciwniczek. To szczęśliwe położenie rosyanie zawdzięczają nie swym własnym przymiotom, ale swemu przeznaczeniu i wychowaniu historycznemu, które połączyło nas z Europą, ażebyśmy mogli zrozumieć ją i sympatyzować z nią w niektórych razach, ale i oddaliły nas od niej, by nas ustrzedz od jarzma jej zasad religijnych, społecznych i politycznych. Aryanie i chrześcianie, ale ani łacinnicy, ani germanowie, ani katolicy, ani protestanci — nie musimy, ani powinniśmy mierzyć się ich miarą. Nie będąc ani gwelfami, ani gibelinami, ani feodałami zachowawczymi, ani stanem trzecim, ani mieszczanami liberalnymi, ani demokratami socyalistami, ani czwartym stanem i mając własną organizacyę społeczną, pod niektórymi względami odmienną od europejskiej, powinniśmy badać dokładnie jej stronnictwa, fakcye i sekty, nie wdając się w ich spory i nie upajając ich namiętnościami. Ale ponieważ Europę tworzą państwa, będące potęgami rzeczywistemi i mające swoje wyłączne interesy, każdy więc, naszem zdaniem, dobry rosyanin musi pragnąć dla swej ojczyzny zgody z niemi wszystkiemi i nie wiązania się z nikim. Chyba w razie pozytywnego interesu, rozważonego i obrachowanego na zimno i tylko na określony przeciąg czasu. Dla nas, tak mało jeszcze posuniętych w nauce, sztukach, rolnictwie, przemyśle i handlu, długotrwały pokój jest przedewszystkiem niezbędny i nie my z pewnością przerwać go zechcemy.

(D. n.).

## O NIEKTÓRYCH PROGNOSTYKACH.

### I.

W aptece czeka na lekarstwo kobieta niemłoda, ubrana dość wytwornie i pretensyonalnie. Farmaceuta przy opakowaniu flaszki rozdarł papierek i złamał korek.

— Ach, co pan zrobił! — woła kobieta— już lekarstwo nic pomoże.

— Ależ niech pani będzie spokojna; cóż to znaczy—uspokajał aptekarz; owszem, to lekarstwo jest bardzo skuteczne w cierpieniach nerwowych, i wogóle doktór X. jest bardzo szczęśliwy w *receptach.*

Argumenty te, zdaje się, nie wiele podziałały; kobieta ckliwo się uśmiechała, nic nie odpowiadając.

Fakt ten rzuca niejakie światło na naturę i powstawanie prognostyków; zawarta w nim bowiem okoliczność nie jest oznaczonym i powtarzanym za innymi przesądem, lecz przesąd schwycony tutaj niejako w chwili rodzenia się.

Prognostykiem nazywamy zdarzenie, zapowiadające następienie czegoś innego; jest to pojęcie względne, odnośnie do wypadku głównego. Różne bywają rodzaje prognostyków i niepodobna dla wszystkich upatrzyć wspólnej przyczyny powstawania. Źródłem jednych są wierzenia religijne — np. dni feralnych i wróżb ze zwierząt; inne opierają się na symbolice i pewnych dalekich podobieństwach—gdy np. krwawy zachód słońca w dzień nowego roku zwiastuje wojnę; wreszcie zasada *post hoc ergo propter hoc* dała początek najliczniejszej kategoryi i dotąd, zdaje się, czynną być nie przestała. Na mocy tej to zasady, obok wpływu analogii, spodziewamy się gości, widząc myjącego się kota.

Wszakże w tej ostatniej grupie, przyjąwszy tworzenie się przesądnych uogólnień na mocy następstwa zdarzeń, zadać jeszcze należy pytanie: czemu z całego szeregu zdarzeń, które poprzedziły główny wypadek, jedno jakieś, a nie inne wzięte zostało za prognostyk?

Rozejrzyjmy się, jakiemu losowi ulega ogół zjawisk poprzedzających. Część ich bywa wcale pomijana, pozostaje w odosobnieniu i umysł nie wiąże ich wcale z wypadkami następującymi; część inna służy za materyał dla umiejętnego badacza, który za pomocą metod logicznych uznaje je jako przyczyny rozpatrywanego zjawiska; trzecią grupę stanowią zdarzenia wybitne, osobliwe i rozgłośne, które bywają wiązane ze zjawiskiem głównem, celowem, właśnie na mocy tej ich niezwykłości i wskutek tego, że człowiek z odziedziczonego i własnego nałogu zwykł dla każdej rzeczy wynajdywać jakąś przyczynę: tutaj to odnieść należy przesądne tłomaczenie komet, albo przepowiednię, że jeśli w marcu grzmi, to lato będzie urodzajnem. Wreszcie w ostatnim rzędzie stoją zdarzenia, jak opowiedziane wyżej uszkodzenie korka, które różniąc się od dwóch pierwszych, nie są ani logiczną przyczyną, ani też odznaczają się swoją osobliwością i wchodzą w skład prognostyków na mocy pewnego odrębnego charakteru i stosunku do przyczynowego biegu rzeczy w naturze. Tego to ostatniego szeregu prognostyków dotyczyć będą niniejsze uwagi, z wyjątkiem rozbioru subjektywnych warunków wróżenia, który odniesiony być może do wszelkiego rodzaju prognostyków.

Mógł to każdy doświadczyć na sobie, że zmierzając do osiągnięcia celu, który uczuciowość naszą silnie porusza, a w skutkach jest niepewny i zależny od nieprzewidzianych okoliczności, odnosimy do niego wszystko, co nam się w tym czasie wydarza. Każda okoliczność, każde wrażenie ze świata zewnętrznego albo wewnętrznego (np. przypomnienia) o tyle tylko zatrzymuje nas przy sobie, o ile coś zeń wyciągnąć możemy, coby dotyczyło zajmującego nas przedsięwzięcia; zresztą wszystko jest nam obojętne, a im ów zamiar jest ważniejszym, im szerzej widnokrąg nasz duchowy zajął, tem mniej odbierać będziemy wrażeń obojętnych, a wszystkie prawie budzić w nas będą uczucia przykre lub przyjemne, nadzieję lub zwątpienie. Przedmiot celowy może w danej chwili w świadomości nie istnieć, ale każde mniej więcej w tym stanie ducha odebrane wrażenie ma własność przywoływać go do świadomości, nie znajdując się z nim w żadnym bezpośrednim, widocznym assocyacyjnym stosunku podobieństwa, następstwa lub współbytności. Najpospolitszym przykładem tego prawa są zakochani, dla których, jak mówią, świat nie istnieje po za przedmiotem uczucia, co wcale nie znaczy, aby świata postrzegać nie mieli, postrzegają go tylko w świetle swego uczucia i w odniesieniu do jego przedmiotu. Stwierdzenie tego znajdujemy i w następującym fakcie, którego byłem świadkiem: Pani X. wyprawiła córkę na krótki czas do znajomych w odwiedziny o mil kilka od Warszawy. Kochała ją bardzo i to małe nawet rozłączenie napełniło ją ustawiczną troską, a niepokój wzmógł się jeszcze, gdy dziecko w dniu oznaczonym nie wróciło; nie miała swobodnej chwili, wciąż jej wyczekując i gubiąc się w przypuszczeniach. Następnego wieczoru zdarzyło się, że służąca, wchodząc z kuchni na górkę, spadła z dwóch stopni i głośno krzyknęła. Jakiż krzyk ten wyobraźnie obudził w pani X? Zerwała się z łóżka i przybiegła, a gdy wyjaśniono jej, co się stało, rzekła, ledwie przychodząc do siebie: „Ach, jakem to usłyszała, serce mi drgnęło i pomyślałam zaraz, że pewnie Mania umarła i ktoś wam teraz tę wiadomość przyniósł.“

Przyjąć więc możemy, że *w pewnym natężonym stanie ducha wrażenie każde niezależnie od jego przedmiotowej treści pojmujemy subjektywnie, uczuciowo* i doznajemy odeń przyjemności lub przykrości, stosownie do tego, jak z życiowego doświadczenia nawykliśmy je uważać i czego się odeń spodziewać. Gdyby w przytoczonym wypadku zamiast krzyku z odcieniem bólu, matka usłyszała wykrzyk lub śmiech radosny, pewnie serce jej drgnęłoby przyjemnie przypusz-

czeniem, że córka powróciła. W razie tym zjawisko poprzedzające zwróciło uwagę jako znak i zapowiedź ziszczenia się przedmiotu głównego, zajmującego matkę, zbudziło zaś uczucie przykre, ponieważ z jego znamion oczekiwać zwykliśmy czegoś nieprzyjemnego.

W wypadkach, w których następuje właściwie tak zwany prognostyk, wyróżnić możemy też same czynniki. Tak np. lekarstwo nie będzie skutkowało dlatego, że zepsuł się korek. Osoba jest silnie przejęta skutkiem niepewnym; nastrój uczuciowy każe jej okoliczności poprzedzające odnosić do przedmiotu celowego, w drobnym wypadku upatrzyć zapowiedź rezultatu, zapowiedź złą.

Wiemy już, dlaczego *wogóle* wiąże ona dwa zjawiska, teraz należy zbadać, dlaczego *dane* właśnie zjawisko wyróżnione zostało i dlaczego posłużyło za złą wróżbę. Ominiemy tylko, ale nie rozwiążemy zagadnienia, utrzymując, iż w pewnych wypadkach istotnie zdarzyć się mogło, że korek się zepsuł i lekarstwo nie skutkowało, a stąd według zasady *post ergo propter* ludzie wyciągnęli prognostyk; gdyż i wobec tego pozostanie nierozstrzygniętem, dlaczego z wielu współczesnych okoliczności, gdy skutek chybił, tę tylko sobie przypomniano; a wreszcie prognostyku takiego nie słyszeliśmy nigdzie wyraźnie sformułowanego i bardzo jest prawdopodobnem, że osoba działała tutaj z wewnętrznego natchnienia, i dopiero przy przyjaznych warunkach wytworzyć by się mogła nowa wróżba.

Zjawiska w świecie zewnętrznym wobec pojmującego je umysłu wiążą się w liczne i równoległe łańcuchy przyczyn i skutków, powodów i wypadków, środków i celów. Każdy wypadek poprzedzany jest przez mnóstwo zjawisk, z których jedne są z nim połączone przyczynowo i koniecznie, inne towarzyszą mu najczęściej, nie będąc koniecznym jego warunkiem. Następienie pierwszych każe spodziewać się ziszczenia się ich skutku, zjawienie się drugich pozwala na przyjęcie mniejszego lub większego prawdopodobieństwa. Człowiek, stawiając sobie niektóre zjawiska jako cele, konieczne i przypadkowe ich warunki ujmuje w swe ręce, stara się nimi kierować, czyli stwarza z nich środki. Jeżeli wszystkie warunki zjawiska są znane i wszystkie są w naszej mocy, wtedy przez ich urzeczywistnienie czyli użycie wszystkich potrzebnych środków otrzymujemy niemylną rękojmię celu: mamy *pewność*, że wypadek nastąpi. Zwykle jednak znamy tylko niektóre z warunków, albo niektóre tylko mocni jesteśmy urzeczywistniać i w tym razie zadawalamy się wyciąganiem prawdopodobieństwa; zachodząca tu czynność umysłu nazywa się przewidywaniem, odpowiedni zaś jej stan uczucia—nadzieją lub obawą. Im lepiej są nam znane związki przyczynowe, wiodące do celu, im silniejszą jest wiara w ich stałość i im mniej podlegamy, zaciemniającym pojmowanie wpływom, tem rozleglejsze jest pole dla swobodnego, rozumnego przewidywania: zrodzi ono w nas otuchę lub upadek ducha jako swój skutek, ale samo skutkiem uczucia nie będzie. Tutaj o nadziei lub obawie mowy być nie może. Lecz jeśli warunki wypadku są nieznane, a wiara w przyczynowy porządek natury słaba, wtedy uczucie obejmuje władzę przeważną i jako swój skutek stwarza przekonanie. Z jednej strony znajdujemy brak oznak zewnętrznych, któreby przeświadczały o ziszczeniu się lub chybieniu gorączkowo wyczekiwanego wypadku, z drugiej niepewność jest najnieznośniejszym stanem i człowiek samozachowawczym popędem wiedziony dąży do usunięcia i przychylenia się na którąkolwiek stronę. Jeżeli miarą przykrości jest stopień zaburzenia, jaki uczucie wywołuje w fizycznym organiźmie człowieka, to o wpływie uczucia niepewności powziąć możemy wyobrażenie z wypadku, przytoczonego przez Feichterslebena w *Hygienie duszy*. Lekarz pewien, wyczerpawszy bezskutecznie wszystkie dostępne mu środki — gdy stan chorego dość długo pozostawał bez zmiany na gorsze i lepsze — osądził, że właściwą przyczyną niepomyślnego biegu kuracyi była owa niepewność, w jakiej pacyent pozostawał co do swego losu. Uciekł się więc do ryzykownego środka; ponieważ obietnice wyzdrowienia mogłyby się wydać podejrzanemi, oświadczył, że chory nie budzi żadnej nadziei, że umrze z pewnością. Otóż to wyjście z niepewności przyniosło choremu taką ulgę, że po krótkim czasie fizycznie uczuł się lepiej i przyszedł do zdrowia. Serce wyczekujące podobne jest do ważki, zawieszonej pośrodku między nadzieją a zwątpieniem. Wstanie normalnym potrzebny jest ciężki balast dowodów dla przechylenia szali, ale gdy w braku wszelkich wskazówek niepewność rozdrażnia i natęża wrażliwość, czułość ważki tak bywa podniesioną, że drobinka, w innym razie zupełnie obojętna, teraz wystarcza, aby ją wtłoczyć do podstaw rozpaczy lub niezamąconej nadziei. Należy tu uwzględnić rodzaj drobinki i właściwości samej ważki. Naprzód co do pierwszego. Jakkolwiek nadzieja lub bezzasadny upadek ducha na błahych wspiera się powodach, jednak potrzebuje powodów; chociaż rozum wobec słabości umysłu i przewagi uczucia zrzeka się władzy, jednak zupełnie z praw swych się nie wyzuwa. Nadzieja nie jest zupełnie samorodną: popęd do niej wychodzi instynktownie z wewnątrz, ale wyszedłszy, szuka pożywienia i oparcia na zewnątrz. Mówiliśmy już wyżej o stosunku zjawisk poprzedzających do następujących wobec rozważającego je umysłu. Wymieniając przyczyny faktu albo środki do celu zatrzymujemy się tylko na najgłówniejszych, mniej znanych, albo podlegających wątpliwości, opuszczamy zaś wielką liczbę innych, niemniej istotnych, jako przypuszczalnie istniejących i w przyszłości niezmiennych. Nawykliśmy do nich jak do powietrza i światła i nie bierzemy ich w rachubę. Zobaczmy to na przykładzie. Mówimy, iż warunkami powodzenia mówcy parlamentarnego, występującego w sprawie, od której zawisł tryumf ulubionej idei i własna jego karyera, są przedewszystkiem zdolności człowieka, praca, wpływ powagi, popularność samej sprawy, siła przeciwników i wszystko, co siłę tę wzmacnia lub osłabia i być może parę jeszcze okoliczności. Ale czyż to już wszystko? Bynajmniej, zrobiliśmy tu dużo przypuszczeń, które mogą się nie sprawdzić. Potrzeba, ażeby mówcy nic nie przeszkodziło w dniu oznaczonym wstać w porę i wyjść z domu; drobna niedokładność ubioru w połączeniu z innemi okolicznościami może sprowadzić ważne następstwa—np. przeziębienie się i chrypkę; potknięcie się na stopniu powozu w jednym razie pozostanie bez skutków, ale w innym spowoduje złamanie nogi; jadąc do parlamentu można zobaczyć coś lub przypomnieć sobie, co odbierze spokój i przytomność umysłu i sprowadzi porażkę na trybunie. Skuteczność lekarstwa czynimy zależną od trafnej dyagnozy, oporności choroby, dobroci wydanego z apteki materyału, wiary chorego, ale przypuszczamy jednocześnie, że doktor w porę będzie wezwany a lekarstwo przyjęte, czemu na przeszkodzie stanąć może tysiące drobnych wydarzeń; stłuczenie się flaszki w pewnych razach może wpłynąć stanowczo i ujemnie, a zepsucie się korka sprowadzi wietrzenie i odejmie lekarstwu należyte własności.

Na tych przykładach to tylko uwidocznić chcemy, że wszelkie zjawisko jest rezultatem w równej mierze wypełnienia się głównych warunków, jako też współdziałających z nimi wszystkich podrzędnych. Jeżeli cel został osiągnięty, to oczywiście sprzyjały zarówno warunki pierwsze jak drugie, chociaż przyczyn powodzenia między drugimi nigdy nie szukamy i nie wskazujemy. Niedokładność w którejkolwiek podrzędnej okoliczności tak dobrze niszczy skutek, jak i chybienie jednego z warunków głównych. Zauważmy jeszcze, że owe okoliczności podrzędne są to po większej części działania bardzo proste i powszednie, skutecznie mniej więcej przez każdego wykonywane. Zachowanie ich nie wymaga szczególniej zręczności, ani sztuki, udają się prawie ciągle; dlatego nie zwracamy nie uwagi i z pewną słusznością przyczyn niepowodzenia szukamy w chybieniu warunków głównych, mniej pewnych. Te podrzędne okoliczności kojarzą się w naszym umyśle nierozłącznie z wszelkiem powodzeniem i stanowią domyślny, jakkolwiek niewyrażany, jego postulat. Chociaż ten ich charakter rzadko określamy świadomie, jednak ich konieczność i stanowczość nieświadomie w umyśle silnie jest zakorzenioną: świadczy o tem wysoko w niektórych osobnikach rozwinięte poczucie ładu i porządku, który niczem nie jest, jak tylko ogółem drobnym okoliczności, wpływających na osiągnięcie wszelkich dalszych celów. Pojęcie to skrzepło w ogólną zasadę, stosowaną bez względu na pojedyncze wypadki: odrzucamy rzecz dla jakiejś drobnej wady, która bynajmniej na istotę i przeznaczenie jej wpływać nie może; otrząsamy pyłek z ubrania, chociażby nie był dla innych widocznym; pozbywamy się kołyszącego chodu, choć nam z nim wygodnie. Słowem, *drobne wady i niepowodzenia kojarzą się w umyśle z wadami i niepowodzeniami większemi.*

(D. n.).

*J. W. Dawid.*

---

# LIBERUM VETO.

Wspomnienie o Kochanowskim.—Nie czas i nie pora.—Nieszczęścia pamięci. — Następcy Kochanowskich. — Sens bez wędzidła.—Voltaire ateuszem.—Skutki chłodników.—Objawy rozczarowania.—Choroby czasu. — Następca po Pilacie.—Chmielowski ścięty przez Odyńca i jego głowa złożona na półmisku *Kroniki Rodzinnej*. — Rozmawiające sroki i pomnik dla Sarbiewskiego. — Niezwyczajny proces i krytyka asystenta. —

Jakób Natanson.

Panie mój (to najświętszy tytuł u swobodnych)
Nie mogę mieć na ten czas darów ciebie godnych,
Ale jako nie zawżdy wołem złotorogim,
Czasem Boga błagamy kadzidłem ubogim.

Jak Kochanowski w swym *Satyrze* do Zygmunta Augusta, tak ja dziś do jego cienia przemawiam w trzechsetną rocznicę śmierci wielkiego poety. Doprawdy... „nie mogę mieć na ten czas darów tobie godnych.“ Ani pora, ani miejsce po temu. Bo niepodobna cię uczcić, nie wypowiedziawszy słów smutnych, które dziś wyrywać się mogą tylko na użytek domowy.

. . . . . . . . . . . . . . . .

Kto nam dziś zastępuje Kochanowskich? P. Podwysocki jest najmocniej przekonany, że — on. O ile można straćmy pamięć dla uczczenia warszawskiego wieszcza. Rymując sobie *de deo cum deo* w jednem z pism ilustrowanych, śpiewa on:

Człowieku! Czy Lock (!) twoim, czy Darwin sterni-
[kiem,
Czy z *Wolterem* wykrzykniesz w zaślepieniu dzikiem:
*Precz z Bogiem!*

Żadna wołowa skóra nie zmieściłaby tych banialuk, jakie wyśpiewali i wyśpiewują idealni kuzynkowie Apollina na warszawskim bruku. Dla rymu, rytmu lub wprost dla zapełnienia wiersza zdolni oni są zestawić z sobą wszelkie wyrazy: cyrulika z Kopernikiem, materyalizm z kalafiorami, a Vogta z krynoliną; gotowi są słowa odmie-

niać przez przypadki, a rzeczowniki przez czasy i tryby. Ot np. p. Podwysocki odzywa się do dzisiejszego człowieka, którego sternikiem ma być Darwin lub... Lock. Naturalnie, co to wieszcza obchodzić może, że Lock żył w XVII w. i dziś wcale nie ma wyznawców, że Voltaire był zapamiętałym deistą, że pisał:

D'un bout du monde á l'autre elle (la loi naturelle) par-
[le, elle crie:
Adore un Dieu...

Ale co to obchodzi człowieka, który rymuje? U nas wszystko powiedzieć można i wszystko pójdzie w obieg jako dobra moneta, jeśli tylko na niej będzie stempel prawomyślności. Wyznać trzeba, że tę cnotę mieszania pojęć, które z sobą nic wspólnego nie mają i bredzenia na wiatr, bez żadnego sensu, aby tylko z akcentem kaznodziejskim, przyswoiła sobie u nas już i proza wojująca. Można spotkać w jednym jej koszu i Darwina, i Heinego, i Vogta, i Chmielowskiego — jak się zdarzy. Łatwo pojąć, że ani Voltaire, ani Heine lub Vogt na tem pływaniu w warszawskich chłodnikach nic nie tracą, ale jakże tracą konsumenci tych chłodników. Ciekawy widok przedstawiałyby ich głowy, gdyby je można otworzyć. Jaki tam musi panować nieład, jaki rwetes! Pozywizm leży obok masoństwa, magnetyzm obok sensualizmu, Cezar łaje Holbacha, Plato karci za nietolerancyę Milla. Kto nie wierzy, niech ułoży z podobnej osnowy artykuł lub wiersz, a przekona się, że pewna część prasy zawoła: oto mąż, jakiego nam potrzeba!

Nie mam nic przeciwko temu, ażeby najwięksi geniusze świata, nawet ci, którzy są przedmiotem szczególnej czci mojej, byli strąceni z ołtarzów i skazywani na niepamięć. Ale niechże to robi ręka umiejętna lub przynajmniej sumienna. Jeżeli ktoś powie: De la Mettrie powinien być spalony za wyprowadzenie wszelkiego życia z materyi—to rozumiem; ale jeśli ktoś prozą lub wierszem twierdzi, że „Wolter w zaślepieniu dzikiem wykrzykiwał: precz z Bogiem,“ kiedy on przeciwnie powtarzał, że „gdyby Boga nie było, trzebaby go wynaleść“ — zasługuje na to, ażeby go, po pozbawieniu wszelkich praw swobody, zrobić konduktorem tramwajów warszawskich. Niech tam nasz ogół wierzy, czemu chce, niech czyta Tomasza z Akwinu a odtrąca Schopenhauera, tylko niech wie wszystko dokładnie, niech nie sądzi, że Schopenhauer był głównym przeciwnikiem dziesięcin, których bronił Milton.

Słuchając tego cudacznego gwaru można wpaść w rozdrażnienie nerwów. Jest to charakterystycznem, jak wielu ludzi podlega u nas tej chorobie. Z samego Lwowa donoszą o dwu wypadkach: R. Pilat, profesor literatury polskiej, i B. Kalicki, sekretarz wydziału krajowego. Jednocześnie K, Grocholski, prezes Koła polskiego w Wiedniu, rażony został napadem apoplektycznym. Obie te choroby nie przedstawiają dziwnego zjawiska w obecnej porze. Trzeba mieć nerwy z drutów platynowych, ażeby one się nie rozstroiły, i trzeba mieć głowę stalową, ażeby ona wytrzymała wszystkie uderzenia wzburzonej krwi.

Pogodziwszy się z tym faktem, Lwów pomyśleć winien o umiejętnem obsadzeniu katedry historyi literatury polskiej. Wyznajemy szczerze. zwłaszcza gdy nas chory nie słyszy, że Pilat nie był dla tej roli właściwym. Profesorów od biedy ściągać nie potrzeba, gdy znajdą się fachowi. *Kuryer warszawski* napomknął, że zwrócono uwagę na Chmielowskiego. Wprawdzie A. E. Odyniec w swych świeżo wydanych *Wspomnieniach z przeszłości* pociechy sobie nie obiecuje z tego „gazeciarskiego krytyka,“ który mieszając go z błotem,“ chciał — według *Gazety polskiej* — „poniżyć i skalać to, co było najpiękniejszą chwilą w rozwoju duchowym kilku pokoleń;“ ów wszakże potwarca jest dziś mimo to najlepszym znawcą historyi literatury polskiej i posiada wszystkie warunki na profesora uniwersytetu, nie wyłącząc ogólnego (na ile ono objawić się mogło) zaufania. Grzech przeciwko Odyńcowi św. możnaby wybaczyć ze względu na to, że szan. autor *Wspomnień*, chociaż przeżył kilka pokoleń. „najpiękniejszą chwilą w ich rozwoju duchowym“ bynajmniej nie był. Temu nie zaprzeczy nawet redaktorka *Kroniki rodzinnej*, której on głowę Chmielowskiego na półmisku podał.

Na wiatr—jak za pismami francuskiemi uczy *Ogrodnik polski* — „sroki, łącząc się po kilka, szczebioczą.“ Zauważyliśmy to w naszej prasie z powodu pomnika dla Sarbiewskiego. Wyznaczony termin upływa za kilkanaście dni, a dotąd *Tygodnikowi ilustrowanemu* nie nadesłano ani jednego projektu. Sroki pogadały z sobą i niezawodnie będzie wiatr, ktory — przysięgam — zawieje w oczy... „pozytywistom.“ Wystąpi taki wniosek: pozytywiści odwracają ogół od celów idealnych, więc też artyści nie chcieli darmo ofiarować swych prac dla znakomitego poety. Przeciwstawmy mu inny: idealiści wyzyskują pracę artystów, którzy skutkiem tego nie zdobywają się na filantropię. A jednakże poświęćcie się, panowie, bo niezależnie od sporu idealno-pozytywnego będzie to wypadkiem szpetnym, gdy Sarbiewski nie wyjedna sobie u was projektu na pomnik.

Szpetnym wypadkiem zeszłego tygodnia był również proces, który się rozegrał w jednym z warszawskich sędziów pokoju. Dr. medycyny R. zapozwał kupca Re. o honoraryum rs. 45. Pozwany odmówił zapłaty na tej zasadzie, że kuracya była prowadzona niewłaściwie i zaszkodziła chorej. Stawający w charakterze świadka inny lekarz, *który asystował przy operacyi*, potwierdził, że jego kolega istotnie zaszkodził chorej i że trzeba było naprawiać jego błędy. Sąd skazał *powoda* na 25 rs. Pomijając zapewnienia innych, nieświadczących w sądzie rzeczoznawców, że operacya wykonana była z wszelką starannością, że cel swój osiągnęła (chora żyje i dziecko również), że niepożądany przy niej wypadek trafić się może każdemu, pomijając, mówię, te względy specyalne, spytać należy: jakim sposobem lekarz może w sądzie, a przez sprawozdania w pismach tak stanowczo potępiać kolegę, któremu przy operacyi towarzyszył? Przecież tam był czas i miejsce do protestu. Lekarz winien być karany za złą wolę, za niedbalstwo, ale nie za wypadki nieprzewidziane. W takim razie bowiem śpiewaczka mogłaby np. żądać od Kosińskiego wynagrodzenia, gdyby krzycząc podczas operacyi, nadwyrężyła sobie gardło i głos straciła. Powyższy fakt jest tem bardziej uderzający, że dotąd u nas koleżeństwo między lekarzami grzeszyło tylko przesadą w galanteryi.

Gdyby ów surowy krytyk medyczny należał do kuracyi zmarłego przed kilku dniami Jakóba Natansona, możeby również dał swym kolegom złą cenzurę. Wiedza najznakomitszych doktorów miejscowych uratować chorego nie zdołała. Od roku przeszło sunął się on powoli do grobu. Imię nieboszczyka zapisało się chlubnie na dwu kartach naszego rozwoju: nauki i przemysłu. Dzieła chemiczne Natansona świadczą o umyśle głębokim i samodzielnym; wytworzone przezoń lub przy jego udziale instytucye— o bystrym i praktycznym. Raz tylko patrzyłem na jego pracę obywatelską zblizka, przy układaniu ustawy Kasy Mianowskiego: włożył on w nią dużo dobrych i skutecznych starań. dużo doświadczenia i rozumu.

*Posel Prawdy.*

# NA WIDNOKRĘGU.

Zapowiedź narodzin pisma w Radomiu. — Dar na upośledzonych zamiast życzenia.—Naśladownictwo stolicy w literaturze prowincyonalnej. — Usterki w treści gazet. — Karejew w organie piotrkowskim. — *Gazeta lubelska* i *Echo łomżyńskie.—Dziennik łódzki.*—Marrené i Szeliga.

Siedem istniejących organów prasy prowincyonalnej dostaje od 1-go października nowego towarzysza, albo raczej towarzyszkę, bo będzie nią *Gazeta radomska*. Zwiastuńczy prospekt oznajmia, iż redaktorem i wydawcą jest dr. Rewoliński, a pismo ma się ukazywać dwa razy na tydzień.

Nikt zapewne nie wątpi o szczerej życzliwości mojej dla tego nowego objawu rozwijającego się życia. Ponieważ jednak gorliwi nawet zwolennicy tradycyjnych obyczajów wykręcają się od życzeń noworocznych, składając odpowiednią kwotę na upośledzonych, więc i ja uważam się za uprawnionego do niepowtarzania niezbyt doniosłych „oby!..“, natomiast do skarbonki pięknych pożądań rzucam westchnienie na korzyść Suwałk i Siedlec, aby się nie narażały na wstyd i długo nie wyróżniały brakiem własnych organów.

Ale nie ograniczam na tem mojej nieuprzejmości i zaznaczam fałszywy ton w programowej przemowie *Gazety radomskiej*. Czy redakcya nie zwróciła uwagi na to, że oświadczenie: „Unikając czczych deklamacyj, pustych frazesów, szumnych zapowiedzi, wyznać musimy szczerze, iż jakkolwiek skromne są nasze zamiary... itd.“ — samo jest wcale nie pełnym, a w naszych czasach mocno spowszedniałym frazesem. Popisywanie się swą skromnością grozi zawsze obudzeniem podejrzliwości ludzkiej, tem bardziej, jeżeli jej zaraz w następującym nowym wierszu damy do czytania: „Zbytecznem uważamy objaśniać, że nie będziemy ulegać jednostronnym poglądom i wnioskom...“

Gdybym był dobroczynną wróżką, mającemu się narodzić na prowincyi pismu nie mógłbym dać cenniejszego daru nad wstręt do naśladowania używanych w stolicy retorycznych piękności, polemik i rozrzewniających upewnień o cnotach obywatelskich.

Widocznie gubernialnym redaktorom i literatom imponują zamaszyste pióra warszawskich reporterów, bo we wszystkich pismach, z wyjątkiem jedynie *Dziennika łódzkiego*, spotykamy zbyt często niefortunne sadzenie się na dowcip, uszczypliwość, lub malownicze, a *lapidarne* obrazowanie takich nadzwyczajnych wypadków, jak śmierć od pestki, która, nieostrożnie połknięta, zatkała *jakąś arteryę i udusiła* w ten sposób nieszczęśliwą amatorkę wisien.

Wojowniczy nastrój pism prowincyonalnych daje się objaśnić tylko istnieniem fałszywych upodobań literackich. W Warszawie polemika jest często niesmaczną i przykrą, w prowincyonalnych pismach—zawsze śmieszną. Bo dlaczego *Echo łomżyńskie* objawiało w kilku pierwszych numerach po odrodzeniu taką krewką zajadłość przeciwko „postępowcom warszawskim“ i wdawało się w ocenianie wystąpienia p. Masłowskiego, o którym dziewięć dziesiątych zacnych mieszkańców Stawisk i poważnych nowogrodzian ani zasłyszało nigdy?

*Korespondent płocki* zamieszcza znowu utwory p. Adolfa Mostowskiego w formie korespondencyj z Podola (które wogóle, mówiąc nawiasem, mało co więcej są potrzebne w organie nadwiślańskiej prowincyi, niż dziura w moście). Pan ten przemawia tonem trywialnej mądrości i pomimo iż widocznie brak mu przedmiotu do pisania, całych szpalt pozbawia miejscowe stosunki. Do czego podobne są takie np. pomysły:

„Wbrew opinii takich uczonych, jak Pasteura i Kocha, ośmielam się utrzymywać, że zielone owoce bynajmniej nie są szkodliwe.“ Autor nie jest wcale lekarzem, tylko widział, że gdzieś ktoś jadł niedojrzałe jabłka i nie umarł.

Dalej znowu ni z tego ni z owego wyrywa się z pretensyą na dowcip:

„Niech sobie materyaliści (?) ubóstwiają pannę Michel, dowodząc tem ubóstwa dusz własnych, niech prawią o realizmie piorunujące paradoksy, ludzkość bez poetycznego uczucia, zdziczeć musi, gdyż poezya na niebie gwiazdą wiary przyświeca, a na ziemi w łagodnych obyczajach moralnością rozkwita.. Dla wyzutych dusz z uczuć poezyi, tylko walka o byt jest dogmatem, pomimo że to jest zwierzęcego świata. Pomimo teoryi nieboszczyka Darwina, taka chęć zniżania się ludzkości w naśladownictwie nie powinna być celem—to już prawdziwy nadmiar demokratyzmu.“

Ani tu sensu, ani składu. Dziwić się zresztą nie można, że autor ma upodobanie w poceniu się nad układaniem frazesów, ale na co to redakcya drukuje? Czy to ma uczyć, czy śmieszyć, czy może zbawić sponiewieraną przez materyalizm (o święta naiwności!) poezyę?

Ci z czytelników prowincyonalnych, którzy potrzebują zadawalać upodobania literackie i szersze potrzeby umysłowe, którzy interesują się sprawami całego kraju i świata, muszą się uciec do pism warszawskich, gdyż im nie wystarczą ani szczupłe rozmiary miejscowych gazet, ani skromne siły gubernii. Z drugiej strony prasa stołeczna nie może poruszać wszystkich spraw każdej części kraju. Prowincyonalna więc powinna zająć się przedewszystkiem potrzebami miejscowemi, ogólnym interesom pozostawiając drobne tylko kąciki. Tyle jest przecie poważnych kwestyj w dziedzinie stosunków etnograficznych, językowych, ekonomicznych, przemysłowych, szkolnych, towarzyskich itd. Nie rzadko się zdarza, że warszawskie pisma potrącą wprzód o jakieś zajście pod Miechowem lub w Śniadowie, niż miejscowe organy. Natomiast *Tydzień* zapełnia poważną część, bo niemal połowę tekstu pracą Karejewa: „Przegląd dziejów powszechnych nowszych,“ spolszczoną przez p. Edmunda Dylewskiego.

Najmniej pod względem treści zadawalającą jest *Gazeta lubelska*, gdyż podaje wyłącznie niemal suche notatki o faktach i stosunkowo za długi dział polityczny. W korespondencyach rzadko kiedy znaleść można coś interesującego.

Już lepiej prowadzi się *Echo łomżyńskie*, trzeba mu to przyznać, pomimo iż metamorfoza jego i wstecznicza gorliwość są dla mnie mocno niesympatyczne. W ostatnich czasach wojownicza werwa ostygła.

Zupełnie odrębne miejsce w prowincyonalnej prasie zajmuje *Dziennik łódzki*. Mając do czynienia głównie z przemysłowcami, potrzebuje on przedstawiać stosunki ekonomiczne całego świata, dawać praktyczne wskazówki i tłomaczyć różne zjawiska ogólniejszej natury. I trzeba przyznać, że zadanie to spełnia dobrze. Wstępne artykuły są wszystkie na czasie i pełne treści. W ostatnich np. numerach drukuje długą, poważną i ciekawą pracę: „Zboże w Ameryce.“ Wobec braku pisma ekonomicznego w Warszawie, *Dziennik łódzki* mógłby być z wielką korzyścią czytany w całym kraju.

Jako pismo codzienne większych rozmiarów, może on się kusić o zupełne wystarczanie swym czytelnikom. Wiadomości miejscowe i krajowe są dobierane starannie i podawane z niewielką tylko domieszką warszawsko-reporterskich ozdób stylowych.

Słowem, wszystko byłoby dobre, gdyby nie plamka na odcinku. Nie można nie zarzucić działowi „Z tygodnia,“ bo trudno, żeby się na zawołanie w Łodzi znalazł jakiś Prus, a pomieszczanie lekkich kronik stało się u nas obowiązujące; ale co robią obok interesujących „Listów z Warszawy“ pani Marrené liche nadwszelki wyraz, nieskończenie nudne paryskie sprawozdania pani Szeligi bez treści i sensu?

*Lach.*

---

## TYDZIEŃ POLITYCZNY.

*Warszawa, d. 18 września.*

Najjaśniejszy Pan wraz z Najjaśniejszą Panią i członkami rodziny cesarskiej natychmiast po przybyciu do Warszawy raczył się udać do warszawskiego prawosławnego katedralnego Soboru, następnie do katolickiego kościoła świętego Aleksandra, a wreszcie do obranego mieszkania w Łazienkach.

Tegoż samego dnia t. j. 8 b. m. Ich Cesarskie Moście raczyli odbyć przegląd wojsk na polach mokotowskich, gdzie zebrane były wszystkie wojska pozostające w Warszawie.

Nazajutrz Ich Cesarskie Moście zwiedzić raczyli Szpital wojskowy Ujazdowski, tudzież Instytut Maryjski. Dzień ten zakończył się balem u gen.-gubernatora.

10 września Najjaśniejsi Państwo raczyli odwiedzić: Maryjską ochronę, I i III gimnazyum, Szpital Dzieciątka Jezus oraz Instytut głuchoniemych i ociemniałych, a następnie tegoż dnia po założeniu kamienia węgielnego pod budowę szkoły i cerkwi prawosławnej udać się do Nowo-Gieorgiewska.

Dnia 14 września o godzinie 6 wieczorem Ich Cesarskie Moście, wraz z Wielkimi Książętami raczyli przybyć do Skierniewic, powitani przez okolicznych włościan chlebem i solą. Przy wstępie do parku włościanki w narodowych kostiumach usypały drogę kwiatami. Uczniowie i uczennice miejscowych szkół, przy dźwiękach orkiestry włościańskiej śpiewali pieśń: „Sławsia, sławsia, Spasi Hospody liudi Twoja!“ i hymn narodowy.

15 września o godzinie 2-iej po południu przybył do Skierniewic Franciszek Józef I, cesarz austryacki, a o 4-ej Wilhelm I, cesarz niemiecki. Wszyscy Monarchowie zajęli mieszkania w pałacu skierniewickim; jadalnię i bibliotekę mają wspólną. W jednem nowem skrzydle zamieszkali trzej ministrowie: ks. Bismark z synami, hr. Kalnoky i p. Giers, niemiecki podsekretarz stanu p, Bülow, ambasador niemiecki w Petersburgu Schweinitz, oraz generałowie przyboczni niemieccy: Albedyll, ks. Radziwiłł i Werder. W drugiem nowem skrzydle: ambasador austryacki w Petersburgu hr. Wolkenstein, oraz adjutanci pruscy i austryaccy itd. Inni mieścili się w dalszych oficynach, w zabudowaniach księstwa łowickiego, a nawet w miasteczku.

16 września odbyła się parada wojskowa pułków, których szefami są cesarz Wilhelm i cesarz Franciszek Józef. Potem nastąpiło polowanie w parku.

Przez cały czas polowania, aż do samego powrotu z niego o godzinie 4 po południu, trzej ministrowie i ambasador w Wiedniu, książę Łobanow-Rostowskij, bez przerwy pozostawali sami z sobą, i już to znajdowali się we wspólnym gabinecie, już siedzieli przed zajmowaną przez się willą, już wreszcie przechadzali się po parku, tocząc ożywioną rozmowę.

O 7-ej wieczorem tegoż dnia odbył się obiad galowy, a o 9-tej widowisko baletowe.

Cesarz Wilhelm wyjechał o godz. 9-ej rano 17 września, cesarz zaś Franciszek Józef w godzinę później.

---

Przewidywania nasze co do niepewności pogłoski o wypowiedzeniu wojny Francyi przez Chiny okazały się słusznemi. Do dziś w Paryżu nic nie wiedzą o podobnym kroku pekińskiego rządu. Najświeższa natomiast wiadomość głosi o wylądowaniu dwóch tysięcy francuzów w cieśninie Kimpai. Zaatakowani chińczycy opuścili swe pozycye i ponieśli wielkie straty.

Oto wszystko, co się z ubiegłego tygodnia nadaje do zanotowania w tej sprawie. Jest prawdopodobnem, że chińczycy zrobią ustępstwa i załagodzą spór.

Bardzo już są nieodległe czasy, kiedy zewnętrznych kłopotów angielskich nikt nie potrafi wyliczyć na pamięć. Podobno znowu pochwycono jakieś, jadące z Ameryki statki z bombami, a członek parlamentu Healy, jeden z przywódców ruchu irlandzkiego, wypowiedział mowę, która pozwala przypuszczać, że zabierają się tam znowu do bardziej sprężystego działania.

Z Indyj wschodnich usunięto dotychczasowego wicekróla, Ripon, i posłano lorda Dufferina. Według tego, co piszą w tej sprawie pisma londyńskie, wnosić można, iż jest to jeżeli nie manifestacya, to w każdym razie krok ostrożności przeciwko Rosyi. Lord Dufferin, były ambasador w Petersburgu i w Konstantynopolu, cieszy się opinią zdolnego dyplomaty i najlepszego znawcy stosunków na Wschodzie. Pomimo zachowania zimnej krwi i zupełnej obojętności wobec zajęcia Merwu, anglicy drżą wciąż o swe azyatyckie posiadłości. W ostatnich czasach liczne artykuły, a nawet całe książki ostrzegają, że periculum in mora, i wzywają rząd do baczności.

Z Australii znowu donoszą, że pięć tamtejszych kolonij pragnie utworzyć Stany Zjednoczone australskie. To jedyna sprawa gdzie anglicy mogą nie wygrać.

W Belgii senat (40 głosami przeciw 25) i król zatwierdzili ustawę szkolną. Obawa rozruchów ludowych trwa wciąż; garnizon stolicy został wzmocniony o 900 ludzi.

W Niemczech ruch przedwyborczy teraz dopiero ożywiać się zaczyna, choć dotąd kombinacye stronnictw nie zarysowały się wyraźnie.

Poznańskie i Prusy zachodnie krzątać się zaczęły wprzód niż inne części państwa, ale tymczasem same tylko smutne wieści stamtąd dochodzą. W Prusiech jeszcze jako tako, ale w Poznańskiem niewiadomo nawet, co będzie. Dotychczasowy takt polityczny tej prowincyi pierzchnął gdzieś. Wszystkie niemal wybitniejsze osobistości uchyliły się od kandydatury. Przewodnikom opinii zarzucają warcholstwo. Dwa zgromadzenia w Poznaniu, dzień po dniu, spełzły na niczem.

---

## CUDZE GŁOSY.

**Nowoje Wremia** sypie jak z rogu obfitości artykuły o polakach. Prócz wspomnianego na innem miejscu, drukuje one „O przeszłości Polski rosyjskiej z powodu chwili obecnej,“ gdzie zastanawia się nad epokami najnowszych naszych dziejów. Pierwszym okresem jest panowanie Aleksandra I, którego „nadzieje i oczekiwania“ względem nas zostały zawiedzione. Nastąpił okres drugi.

„W Nowogeorgiewsku zabrzmiał głos innego monarchy, bardziej niezłomnego i konsekwentnego, który nie przyjął „obłudnej“ deputacyi i powiedział jej, że „jeden wystrzał — i Warszawa przestanie istnieć...“ Komentarze do tych słów były zbyteczne. Być może tym właśnie słowom kraj zawdzięcza spokój jaki panował przez lat dwadzieścia z górą po tem surowem ostrzeżeniu danem przez Mikołaja w r. 1835.“

Trzeci okres rozpoczyna się w r. 1856.

„W łagodnej ale stanowczej radzie „porzućcie marzenia“ streszczał się—powiada *N. Wremia* — jakby charakter zasadniczy dwóch poprzednich panowań odnośnie do Polski rosyjskiej. Upłynęło jeszcze lat dziesięć, i Aleksander II podczas smutnego przelotnego spotkania z Wielopolskim (w Berlinie), sam daje wymowny komentarz do swych pierwszych słów. „Zostaliśmy zwyciężeni margrabio...“—powiada („nous avons été vaincus, marquis, nous avons été vaincus“). Najlepsze chęci łagodnego monarchy względem Polski rosyjskiej zostały zwyciężone przez to wszystko, co zaszło w ciągu owych pamiętnych lat dziesięciu.“

Tu *N. Wremia* charakteryzuje działalność Milutyna, którego uwielbia i którego rade by znowu widzieć w Polsce.

W końcu *N. Wremia* ma nadzieję:

„że w rosyjskiej Polsce wyrobi się przy inicyatywie z góry system, odpowiadający najlepszym tradycyom prawdziwej polityki milutynowskiej. Jest to tem konieczniejsze, że od niedawna, a zwłaszcza w najnowszych czasach, zaczął odgrywać w kraju bardzo wydatną rolę czynnik dawniej słaby i nie brany w rachubę — czynnik wzmagającej się germanizacyi Królestwa Polskiego; znacznie zmienił się stosunek arystokracyi do włościaństwa, a reforma włościańska, odpowiednio do tego, oraz pod naturalnym wpływem czasu i przyrostu ludności, może przy niepomyślnych okolicznościach być wyzyskiwaną wcale nie w tym kierunku, jakiego spodziewał się Milutyn. Cóż za pożytek będzie, jeżeli wyrośnie młode polskie pokolenie, znające nawet, dajmy na to, język rosyjski, ale nie odstępujące od antypatyi dla wszystkiego, co jest rosyjskie? Czy usunęliśmy to wszystko, co może żywići podtrzymywać tę antypatyę, choćby w ościennych z krajem polskim odwiecznych rosyjskich prowincyach? Jako odpowiedź na to, może służyć odtąd w swoim rodzaju godny uwagi wypadek z biskupem łucko-żytomierskim i księdzem Morawiczem, przypominający nam, że istnieje u nas napół zapomniana kwestya rosyjskiego języka w „dodatkowem“ katolickiem nabożeństwie. Według naszego skromnego zdania, oto gdzie usunięcie polskiego języka, przy przewadze niepolskiej ludności, stanowczo jest ważniejszem, niż usunięcie tegoż języka z niższych klas zakładów naukowych, wśród polskiej ludności.“

**Russkij Kurier** odzywa się w tejże sprawie entuzyastycznie. Oto główniejsze ustępy jego mowy (według *Wieku*):

„Spełniło się — od pewnego czasu oczekiwane — zwiedzenie przez Najjaśniejszego Pana „starożytnej“ Królestwa Polskiego stolicy, Warszawy.

Stolica ta w swych murach ujrzała obecnie swego „króla polskiego,“ i widzimy jak uroczyście i z jakim zapałem powszechnym ludność jej powitała tego, w którego rękach spoczywa dziś z woli Opatrzności przyszłość i szczęście narodowości polskiej. Wstępując na grunt warszawski i pozdrawiając obywateli, którzy obyczajem słowiańskim ofiarowali Jego Cesarskiej Mości chleb i sól, Najjaśniejszy Pan rzekł do nich: „Proszę mieszkańcom Warszawy podziękować; *rad jestem bardzo, że się tu znajduję.*“

Słowa te, wypowiedziały to wszystko, co mogło rzucić światło właściwe na stosunek władzy imperyum rosyjskiego do narodowości polskiej, a więc i państwa rosyjskiego oraz rządu do Polski.

„Rad“ jest monarcha rosyjski, że się znajduje w Warszawie śród polaków! To znaczy, że i na gruncie polskim — wnioskuje dziennik — monarcha rosyjski uczuwa radość z oglądania ludności, otaczającej go i kochającej, a wiernie pełniącej narówni z innymi cesarską i państwową służbę.

Alboż inaczej się dzieje? Czyż istotnie państwo rosyjskie w ludności polskiej nie posiada cennej siły, dźwigającej na sobie narówni z resztą ludności wszystkie ciężary państwowe i wszystkie obowiązki prawych i wiernych poddanych. Zapomniawszy o wszystkich pociskach losu, o wszystkich przeciwnościach bolesnego żywota dziejowego, o wszystkich okropnościach klęsk doczesnych, pogodziwszy się ze wszystkiemi możliwemi właściwościami swego otoczenia i złożywszy przyszłe losy swoje w ręce Wszechpotężnej Opatrzności, naród polski znowu żyć zaczął życiem oświeconej rasy, zdolnej do osiągnięcia najwyższych stopni oświaty. Gorliwie, jakby dla powetowania strat przeszłości, uprawia swą ziemię, doskonali i rozwija przemysł, rzemiosła, handel, pracuje nad postępem sztuki, nauki i piśmiennictwa. Naród polski nie zakopuje — na wzór sługi „złego“ i „gnuśnego“— talentów swoich do ziemi, lecz puszcza je w obieg na pożytek własny i całej słowiańszczyzny.

Dlatego to narodowi temu powiedział jego Monarcha, że „rad jest, iż się znajduje“ śród niego.

Kraj polski — to nie naga pustynia; to ogród, uprawiony pracą i uzdolnieniem wielu pokoleń; to handlowo-przemysłowa oaza, pomyślnie współubiegająca się nietylko z resztą ziem rosyjskich, lecz i z sąsiedniemi krajami zagranicznemi.

Ale nie należy też i o tem zapominać, że Polska—to straż przednia słowiańska przed germanizmem, i w tem jej położeniu, w tej roli i powołaniu tkwi wielka potęga uroku i wielkie znamię. Występując na „ostatniem“ miejscu w szeregu innych, niezależnych ludów i plemion słowiańskich, zajmując dziś najskromniejsze stanowisko w dziedzinie narodowości słowiańskich, polacy nieodwołalnie — dzięki zbiegowi geograficznych warunków swego położenia i związku faktów dziejowych — znajdą się w czasie właściwym *na czele* wszystkich ludów słowiańskich w walce z germanizmem, w nieuchronnym i już rozpoczętym kulturalnym pojedynku świata niemieckiego ze światem słowiańskim. Fale germanizmu, uderzając się o skałę polską, już się rozpryskują, i zapóźnoby teraz marzył germanizm i filary jego o przetworzeniu rasy polskiej w ciele Vaterlandu niemieckiego!

Nie pysznić się tedy potrzebujemy wobec kraju polskiego i polskiej narodowości; nie szukać tylko powodów do sprzeczek z nią i jej traktowania, jako nieprzyjaciela, winna społeczność rosyjska i rosyjska publicystyka. Owszem, naśladując przykład Monarchy, należy im nadal również względem narodowości polskiej, jak względem innych, wchodzących do składu Rosyi, okazywać taką samą względność, sprawiedliwość i uprzejmość, jakie w tej chwili są okazywane w stosunku do Warszawy i jej mieszkańców przy obecnem, pełnem znaczenia odwiedzeniu ich przez Najjaśniejszego Pana.“

**Moskowskija Wiedomosti**, zdawało się, przeszły już najdalszą granicę zaciekłego bezsensu. Nieprawda — cokolwiek powiedzą, zawsze to jest postęp w jednym kierunku. Oto najnowszy wybuch:

„Co to jest *polska sprawa*, polskie interesa? Wy, dobrzy ludzie, myślicie może, że nieszczęśliwi ci polscy patryoci kłopoczą się i męczą dla zachowania swojej narodowości, dla spokojnego jej istnienia i rozwoju. Gdyby tak było, to nie istniałaby, przynajmniej w Rosyi, żadna polska kwestya. Nikt w Rosyi nie pomyślałby nawet o gnębieniu i uciskaniu spokojnego pokrewnego nam plemienia. Nie, *polska sprawa*, to nie znaczy zachowanie swojej, lecz zagarnięcie obcych(!) narodowości; polska kwestya znaczy: oddajcie się nam w ręce i poddajcie się nam. Postradawszy swój lud, szlachta z rosyjskiej i litewskiej ludności chce stworzyć sobie nowe bydło i zapanować nad niem. W polskiej kwestyi Rosya się *tylko broni*, a zaczepnie, wszelkiemi środkami złości, kłamstwa, obłudy, zdrady i buntu działa szlachta polska, i to nie owa drobna, która uprawiała i uprawia rolę pospołu z bydłem, która żyła i żyje jako woźnice i lokaje na pańskich dworach i którą dla odróżnienia od chłopów sieczono dawniej na kobiercach—ta szlachta tylko słucha komendy, ale szczyty jej, polscy i spolaczeni książęta i hrabiowie, którzy panowali w dawnej Polsce i przechowują jej tradycye. Oni to stanowią owo sprzysiężenie znane pod nazwą *polskiej sprawy*. W Austryi zwłaszcza ostatnimi czasy, pozyskali oni wielką siłę. Oddano im pod zupełną władzę Galicyę, zaludnioną więcej niż w połowie przez naród plemienia rosyjskiego. Tu oni już wprowadzają w wykonanie swoją ideę, t. j. ujarzmienie narodu rosyjskiego. Niedawny proces p. Naumowicza, Dobrjańskiego, Płoszczańskiego i innych obwinionych o zdradę stanu i skazanych na osadzenie w więzieniu za to, że nie chcą być polakami i uznają się za dzieci narodu rosyjskiego, okazał całemu światu, jak mylne pojęcie o *polskiej sprawie* mają sentymentalni panowie, wyobrażający ją sobie jako sprawę uciśnionej i prześladowanej narodowości, kiedy tymczasem jest ona żywiołem obłudnym, zaczepnym, zdolnym do wszelkiego złego. Z Galicyi, jakby z zawojowanej cytadeli, przywódcy polskiej sprawy prowadzą swoje podkopy, znajdując teraz pomoc w swoich biskupach, którzy, niestety! znowu stali się siłą w zachodniej Rosyi.“

**St. Petersburger Zeitung**, pragnąc dostroić się do logiki *Mosk. Wiedomostiej*, powiada:

„Polacy, którzy ważną rolę w trzech cesarstwach grają i pośród których zjazd się odbywa, mogą z niezupełnie spokojnem sercem oczekiwać rezultatów dnia dzisiejszego. Sumienie ich zanadto jest obciążone, iżby spokojnie przyjęli skutki porozumienia, którego żadna strona nie usiłowała tyle udaremnić, co polska. Jeżeli bowiem stosunki między Niemcami a Rosyą były naprężone w ostatnich latach, jeżeli niemcy byli w zakłopotaniu co do zamysłów rosyan, a rosyanie w obawie przed zaborczymi planami niemców, jeżeli zanosiło się na wojnę rosyjsko-niemiecką, jeżeli rubel rosyjski coraz gwałtowniej spadał i przyprawiał o coraz nową panikę i o straty materyalne posiadaczów wartości rosyjskich, to wszystkie klęski *przeważnie polakom* przypisać należy. Polskie dzienniki rozgłaszały bez przerwy kłamstwa i bałamuciły umysły w Niemczech i w Rosyi widmem wojny i przygotowań obustronnych do tej wojny, dlatego, że zaszkodziłaby ona jak najbardziej Niemcom i Rosyi, a polakom dopomogłaby do ziszczenia ich planów opartych na przewrocie. Później dopiero, bardzo późno i nie bez wstydu zrozumiała opinia publiczna w Niemczech i w Rosyi, jak, przez kogo i do jakiego stopnia była za nos wodzona...“

---

## KRONIKA BIEŻĄCA.

**W ministeryum finansów** przystąpiono, jak donoszą *Mosk. Wiedomosti*, do ułożenia projektu, mającego zreformować miejscowe finansowe urządzenia Królestwa Polskiego na wzór takich instytucyj w Cesarstwie.

**Zbyt szybki wzrost** liczby inżenierów tamowany jest tem, że ledwie 75% kandydatów ukwalifikowanych dostaje się do Instytutów. Okazuje się jednak, że nadmiaru techników wcale nie ma w państwie, bo na 600 dyrektorów istniejących w Rosyi cukrowni, gorzelni, browarów 30 tylko wyszło z miejscowych szkół technicznych, resztę, 570, dostarczyła zagranica.

**Wystawa dzieł sztuki w Poznaniu**. otwarta d. 1-go czerwca b. r. została zamknięta. Przekonała ona, iż Wielkopolska niezbyt jest rozwiniętą pod względem artystycznym. Wystawiono 198 obrazów, pochodzących od 51 właścicieli. Prócz tego były tam rzeźby i bronzy egipskie, greckie i rzymskie.

**Regulacya Wisły**. W jesieni b. r. ma być delegowaną z ramienia rządu specyalna komisya techniczna w celu zbadania brzegów Wisły, uszkodzonych podczas ostatniej powodzi, oraz poprzerywanych tam i grobli. Zadaniem komisyi rzeczonej będzie określenie wysokości sumy potrzebnej na uskutecznienie robót i czasu na to potrzebnego. Wiadomość tę podaje *Wiek*.

**Korespondenci** przybyli dość obficie na zjazd do Skierniewic. Zleciało tego wędrownego ptactwa aż 20 kilka sztuk. Następujące dzienniki zagraniczne należały do tego stadka: *Times*, *B. B. Courrier*, *Köln. Zeitung*, *B. Tageblatt*, *Vos. Zeitung*, *Figaro*, *Kreuz-Zeitung*, *Pol. Correspondenz* i .. *Nordd. Allg. Zeitung*, która miała najlepszego, najlepiej poinformowanego, ale, niestety,

najbardziej milczącego współpracownika. Nadto znajdowali się korespondenci gazet rosyjskich, agencyj telegraficznych, wreszcie kilku reporterów naszych.

**Bibliografia polska.** J. U. Niemcewicz *Dzieła*, tanie wydawnictwo K. Bartoszewicza w Krakowie, t. I i II.

— J. I. Kraszewski *Bez serca* powieść, t. trzy, Warszawa, Gebethner i Wolff.

— T. Jeske Choiński *Z miłości*, Kraków. K. Bartoszewicz.

— T. T. Jeż *Niezaradni* powieść, Warszawa, Gebethner i Wolff.

— B. Znatowicz *Zasady chemii ogólnej*, Warszawa, Gebethner i Wolff.

— A. A. Odyniec *Wspomnienia z przeszłości*, Warszawa, Gebethner i Wolff.

— T. Korzon *Historya wieków średnich*, Warszawa, Gebethner i Wolff.

**Narew**, kalendarz przeznaczony głównie dla Łomży i okolic, opuścił prasę drukarni warszawskiej p. Noskowskiego. Redaktorami byli pp. B. Londyński i Piotr Boczkowski. Niestaranność i pewna blaga cechują to wydawnictwo. Z wyjątkiem króciutkiego artykułu p. Glogera nie ma tam prac ani wartościowych, ani ciekawych ze względu na miejscowe stosunki. Dział informacyjny niekompletny.

**Jubileusz uniwersytetu kijowskiego** wywołał na szpaltach *Kijewlanina* wspomnienie o dziejach katedry języka i literatury polskiej. Przy otwarciu uniwersytetu na etacie mieściła się pozycya lektora języka polskiego. Katedrę tę oddano Milowiczowi b. lektorowi angielskiego języka przy krzemienieckiem liceum. W 1835 M. opuścił służbę, a język i literaturę polską wykładał czasowo Józef Korzeniowski, będący wówczas adjunktem przy katedrze literatury łacińskiej. Wykłady jego ustały w r. 1837. W 1836 ogłoszono konkurs na wyszukanie lektora języka polskiego. Z siedmiu nadesłanych prac komisya za dostateczne uznała trzy, a z tych najlepsza pochodziła od Józefa Kraszewskiego. Rada uniwersytecka zażądała od autora dokumentów, a jednocześnie zapytała gubernatora o opinię co do politycznej kwalifikacyi. Okazało się, że Kraszewski znajdował się pod sądem za występne zachowywanie się podczas powstania 1830 i 31 roku i że dopiero w 1832 otrzymał Najwyższe przebaczenie, z tem jednak zastrzeżeniem, że rozciągnięty nad nim zostanie nadzór policyjny i administracyjny. Wobec tego gen.-gubernator wileński uznał mianowanie Kraszewskiego za niemożebne. Z dwóch innych kandydatów, jeden też nie był odpowiedni, a drugi się cofnął. Wprowadzenie nowej ustawy i wypadki w uniwersytecie 1839 r. usunęły zupełnie lektorat języka polskiego. Myśl wznowienia takiej katedry powstała za pierwszych lat panowania Aleksandra II, lecz się nigdy nie urzeczywistniła.

**Czas próby** pierwszej eksploatacyi rządowej dróg żelaznych okazał się za krótkim i dlatego minister skarbu, jak donosi *N. Wremia*, podał pod rozpatrzenie komitetu ministrów wniosek nabywania na przyszłość takich tylko dróg, które bezwarunkowo korzyść przynosić mogą. Dla wzmocnienia zaś wpływu rządu na towarzystwa kolejowe wejdą wydane zaliczki do dopełniających kapitałów akcyjnych i tym sposobem pozyskać głos rozstrzygający na zgromadzeniach akcyonaryuszów. Minister zamierza także wyprobować sposób oddawania dróg w dzierżawę towarzystwom, ubezpieczającym rządowi kaucyami i zobowiązaniami określony dochód i porządne utrzymywanie drogi.

**P. Szigarin** prosi nas o sprostowanie, że swą *Teraźniejszość* wydawać będzie nietylko w języku polskim, ale i rosyjskim.

**Donosiliśmy** niedawno o niewesołych losach polskich przytulisk dla starców, a zarazem domów wychowawczych w Paryżu i Juvisy, jak równie o środkach podratowania tych instytucyj. Teraz dajemy dokładne cyfry, które stwierdzą słuszność obaw i starań a skłonią może kogoś z kraju do niesienia pomocy wysiłkom rodaków na obczyźnie. Zakład św. Kazimierza w Paryżu, zostający pod zarządem Sióstr miłosierdzia polek, mieści w sobie 128 osób, daje schronienie i utrzymanie 35 inwalidom, trudni się wychowaniem 56 dziewcząt i 16 chłopców. Dochód składa się głównie z darów dobroczynnych i z subwencyi od rządu francuskiego (12,000 fr. rocznie), wynosi ogółem 30,102 fr. Wydatki spłacone do dnia 30 czerwca b. r. wynoszą 29,228 fr., pozostaje do spłacenia 5,618, długu 4,743 fr.

**Zakon Dominikanów w Galicyi**, trzymający się reguły klasztornej, zwłaszcza we Lwowie o tyle, o ile na to ułomna natura ludzka pozwalała, podpadł wizytacyi i rewizyi delegata jeneralnego, ks. Anselmiego z Wiednia. Jegomość delegat pozaprowadzał rozmaite obostrzenia, więcej śmieszne, niż potrzebne — jak powiada *Kuryer lwowski* — skutkiem czego przeor lwowski, ks. Lickendorf, zrzekł się swej godności i wraz z ojcami Żakiem i Skałubą stawił opór delegatowi jenerała, odmawiając przyjęcia obserwy. Ciekawe, jaki obrót weźmie ten bunt mnichów.

**Także polszczyzna.** Przykład koszlawienia języka polskiego przez władze pruskie podaje *Dziennik poznański*. Jest to komunikat urzędu poborowego od spadków w Królewcu, który tak opiewa: „Urzod boborowi (podatky obierajo ci) w Krulewcu. Przystaję uwiadomienia następujocego, wyniknelo z strony urzędu poborowego w Krulewcu z przyczyny adreszatowi przypadlego dziedzictwa. Będzie Każdemu, Który znajomość sprawunku do tego potrzebno uważyć niemoże, albo do tego nie wstanię, dla uchronienia się dalszego rozróżnienia (zaciogu) Kostów, i strofu, poleczano, (doradzano), dla wypełnienia obowiozków jemu następnie oznajmionych, poradnika praw i wsprawunkach znajomego używać (za śieby obracać).“ Tyle „urzod boborowi,“ my zaś ogłaszamy konkurs: królestwo za rozwiązanie tej zagadki.

**Biurokratyzm austryacki** ilustruje *Reforma* krakowska opisem następującej procedury. Sąd doręcza stronom zamiejscowym uchwały swe także przez pocztę. Jeśli poczta adresata znaleść nie może, zwraca uchwałę i pisze odezwę do sądu, żądając ściągnięcia od strony miejscowej porta w kwocie 5 centów walutą austryacką i o nadesłanie jej tegoż. Odezwa ta idzie na sesyę Izby sądowej i zapada uchwała, polecająca ekspedyturze ściągnąć to porto od strony miejscowej. Uchwałę odpisuje i zapisuje do ksiąg ekspedytura—woźny doręcza je stronie. Jeśli strona, co jest najczęstsze (bo któż się chce dla 5 ct. włóczyć po sądach!), nie zapłaci tego porta, ekspedytura zawiadamia sąd o tem przez dziennik. Sąd uchwala wtedy, aby ekspedytura ściągnęła te 5 ct. w drodze egzekucyi. Strona, zagrożona sekwestracyą, płaci 5 ct. woźnemu, który ją przyszedł fantować, woźny składa raport i pieniądze. Wtedy — jeszcze nie koniec! — ekspedytura pisze do poczty zamiejscowej odezwę i przesyła jej w kopercie pieniężnej pod 5 pieczęciami z laku... owe 5 ct.!

## ODPOWIEDZI REDAKCYI.

*P. J-nowi w Warszawie.* Skierniewice były oddawna siedzibą magnatów polskich (zwłaszcza prymasów). Dziś należą one do księstwa łowickiego i stanowią własność cesarską. Administruje m. Wielopolski.

*B. Z. w P.* Podręczną i dobrą jest A. G. Bema (nakład Lesmana). Najlepszy sposób: krótka gramatyka, słownik i czytanie autorów wyborowych.

*Stałemu prenumeratorowi.* List pański zawiera dużo nieprawdy. Owa 84 próba korespondenta z Galicyi jest prostem przywidzeniem, tem widoczniejszem, że—według własnego wyznania — dzielnicy tej Pan nie znasz. Co do mniemanej protekcyi szkodliwego żywiołu, czy Pan istotnie *Prawdę* czytujesz—stale i uważnie? Karłowicz mieszka w Heidelbergu i pracuje naukowo. Dubrowski już nie żyje. Po polsku *orzeł.* Spółka nie mogła odrazu zrobić wszystkiego, bo zaczęła wydawać dopiero od dwu miesięcy. Drugą będzie książka dla dzieci. W liście bezimiennym prywatnym żądasz Pan odkrycia pseudonymów w piśmie publicznem? Za wiele.

*Z. w Jeremiczach.* Książka wraz z przesyłką kosztuje rs. 1 kop. 41; pozostaje u nas kop. 39; w oprawie nie ma.

*P. w Sienny.* Za wysłane książki wraz z posyłką należy nam się rs. 4 k. 57.

*K. w Chodorkowie.* Wysłane książki z przesyłką kosztują rs. 8 kop. 34; pozostaje u nas rs. 1 k. 67.

*P. S. K. w Sokołówce.* Wychodzi w Stutgarcie, kosztuje rs. 6 k. 60 rocznie.

*P. M. G. w Płocku.* Nie ma; Korzona nie wyszła.

## OFIARY.

*Na wpis dla uczniów.* Profesor Mielewski rs. 5, M. K. rs. 3—z Astrachania; K. H. rs. 8 z Chołoblina, rs. 10 ze Stepy, Włodzimierz Głębocki rs. 5, Wysocki rs. 10 z Kijowa, Mieczysław P. rs. 4.

*Na powodzian.* Prof. Kruszewski z Kazania rs. 3 (opuszczone poprzednio). Przy sprzedaży 26 egz. *Na pomoc* w Starymkonstantynowie jako naddatek od J. S. rs. 3, A. Tworowski rs. 1, Z. Sobolewski rs. 1, Mieleszkiewicz k. 50, Michalski k. 25, Bagajew k. 50, W. Tworowski rs. 1, Kamiński k. 25, J. Elert k. 50, Kosiński k. 70, K. S. i R. rs. 1 k. 50, Lew k. 50, S. L. k. 30 — z Białegostoku zebrane za pośrednictwem Piotrowskiego.

*Dla studentek polek w Petersburgu.* Drut półimperyał.



**Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.**

**Prenumeratorzy „PRAWDY“ otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.**

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 7 Сентября 1884 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.